

Dziś w numerze: ● Mecz śmierci ● Jak umeblować mieszkanie ● Przeprowadzka ● Głos przeciw westernowi ● Gidle ● Wizja ● Wiersze ● Felietony ● Recenzje

odgłosy



12 (542)
24. III. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



ZDZISŁAW PIGON

Jedziemy na wczas

Miasto Łódź i województwo łódzkie pod względem ilości zatrudnionych w gospodarce społecznej, zajmuje jedno z czołowych miejsc w kraju. Udział robotników w ogólnej ilości zatrudnionych waha się w granicach 70 proc., a w niektórych latach nawet 80 proc. i znacznie przekracza krajowy wskaźnik zatrudnienia pracowników fizycznych, który np. w 1966 roku wynosił w tej grupie 66,9 proc.¹⁾

Większe wskaźniki udziału robotników w zatrudnieniu notujemy na terenie m. Łodzi i województwa łódzkiego w odniesieniu do charakterystycznych dla tego regionu gałęzi gospodarki narodowej. Np. w 1962 roku średnie zatrudnienie pracowników fizycznych w przemyśle włókienniczym wynosiło

88,2 proc., w przemyśle budowlanym 80,6 proc., poligrafii 77,3 proc., chemii 79,2 proc., gdy np. krajowy wskaźnik zatrudnienia robotników w przemyśle włókienniczym w tym okresie wynosił 80,2 proc.²⁾

Możemy zatem stwierdzić, iż w omawianym okręgu gospodarczym jakim jest m. Łódź i woj. łódzkie, dominujące znaczenie posiada przemysł włókienniczy, a struktura zatrudnienia wyraźnie przechyla się na korzyść robotników. Wydaje się, że również w latach przyszłych przemysł włókienniczy nie utraci tej hegemonii, jeśli nawet, jak sądzi się, nastąpią zmiany w strukturze przemysłu z uwagi na przewidywany rozwój przemysłu maszynowego³⁾

Na tym tle więc powinniśmy podjąć próbę oceny stopnia wykorzystania wczasów

Dalszy ciąg na str. 3

W tych burzliwych dniach — mimowszystko — musimy okazać maksimum wyrozumiałości naszej młodzieży studenckiej. Nie wątpimy, że to patriotyzm każe im właśnie tak działać. Powiedzmy wyraźnie — tak nierozważnie działać.

Niewinni dwudziestoletni! To my — starsze pokolenie — jesteśmy winni, że myśmy wychowali ich w niewiedzy. To myśmy kwitowali jednym wypranym z emocji zdaniem w ich nudnych podręcznikach historii czas, gdy Polskę pod ręką Bermana i Minca dręczyły inscenizowane procesy „nacjonalistycznego odchylenia”.

Niewinni dwudziestoletni! Skądże mogą wiedzieć, że niejeden dzisiejszy liberal, deklamujący o wolności — Zambrowski, Staszewski et consortes — to ówczesne filary tego systemu. Niewinni dwudziestoletni nie znają bolesnego skurezu serca, o jakie przyprowadził dzwonek mleczarza. Nie im nie mówią nazwiska całego legionu Fejginów i Różańskich — inscenizatorów i prowokatorów — których synowie dziś — bo obca jest nam mściwość — są tylko kolegami z uczelni: liberalnymi, deklamującymi o wolności, dobrymi kolegami, pozującymi na poszkodowanych.

Niewinni dwudziestoletni! Protestują przeciw obciążaniu synów winami ojców. Skądże mogą wiedzieć, że chodzi o próbę z góry ukartowanej „zmiany warty”, o zamiysł wprowadzenia na polityczną arenę drugiego już pokolenia polityków o nazwiskach do cna zgranych.

Nie znają nasi dwudziestoletni i tych szulerskich prawideł gry, które sprawiły, że właśnie ci, co tu, w naszym kraju rzucali nam w twarz obelgi, tepili naszą kulturę narodową — jakoby nieuleczalnie napiętowaną nacjonalizmem — po Październiku, czmychnawszy z Polski, objawili się w Izraelu jako najżarliwsi syjonisci.

Niewinni dwudziestoletni! Cóż im wiadomo o trwającej od roku 1956 nagonce na Polskę — o tej nagonce piór — niestety i żydowskich a kupionych przez NRF, wśród których nie zabrakło i pupila łódzkiej uczelni, Kosińskiego, najgorliwszego oszczercy Polaków, a jeszcze nie tak dawno tu, w naszym kraju arcygorliwego czasów stalinowskich, obśpiewanego przywilejami, o jakich nikomu z dzisiejszych dwudziestoletnich nawet się nie śniło.

Niewinni dwudziestoletni! Przecie nie wiedzą i tego nawet, że już raz ich łódzka Alma Mater została obżuciona błotem przez ludzi, dla których władza i wpływy są najwyższym i wszystko usprawiedliwiającym celem. U schyłku roku 56, już po Październiku, cała zachodnia prasa doniosła o „pogromowych” wydarzeniach w łódzkiej Akademii Medycznej: istotnie, studenci i młodzi lekarze pozbawieni możliwości pracy naukowej ośmielili się wówczas zażądać zniesienia przywilejów wąskiej grupy, przestrzegania zasady równych praw przy równych zdolnościach. Te ludzkie postulaty ściągnęły na ich głowy zarzuty antysemityzmu — i heca antypolska odbiła się głośnym echem w prasie amerykańskiej, brytyjskiej i zachodniemieckiej, wszędzie tam, gdzie sięgały wpływy powiązań syjonistycznych.

Ale o tym wszystkim nie wiedzą niewinni dwudziestoletni: w imię naszych tradycji internacjonalistycznych, myśląc że tak będzie lepiej, przemilczaliśmy przed nimi te wstydlive i bolesne sprawy: jakże więc mieli dostrzec i rozpoznać za swymi plecami wczorajszych uzurpatorów, głównych antypolskich cenзорów sprzed Października, denuncjatorów polskich pisarzy, ludzi, którzy doprowadzali polskich chłopów do tego, iż porzucali w rozpacz ojcowiznę?

Niewinni dwudziestoletni! Winne są przemilczenia, winna jest ich niewiedza, która i nas obciąża.



5 listopada br. wybór elektorów praktycznie zdecydował, który z tandemów kandydackich na stanowisko prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych odniesie zwycięstwo. Elektorzy bowiem zobowiązani są do głosowania na kandydatów swej partii, którzy wyłonieni zostaną na konwencjach krajowych na dwa, trzy miesiące przed terminem wyborów. Ale już teraz w 15 stanach USA odbywają się zgromadzenia wyborcze tzw. primary, dające wstępną orientację, jakie są szanse poszczególnych kandydatów. Pierwsze takie zgromadzenie odbyło się w stanie New Hampshire i dlatego warto poświęcić nieco uwagi tej sprawie.

Kto obecnie ma szanse zdobycia fotela prezydenckiego? Albo może precyzyjniej: kto obecnie pozostaje na polu walki wyborczej?

Z partii demokratycznej oczywiście: JOHNSON, z partii republikańskiej — NIXON. Nie są to jednak jedyni kandydatury. Ostatnie dni wykazały, że i Johnson i Nixon mogą mieć w swych partiach poważnych konkurentów.

Niespodzianka nr 1, której mimo różnorodnych głosów raczej nie oczekiwano, jest oświadczenie ROBERTA KENNEDY'EGO, brata zamordowanego prezydenta, że zgłasza swą kandydaturę na urząd prezydenta USA. Robert Kennedy, któremu szanse dawano raczej w następnych wyborach, za cztery lata, wstępuje w szranki wyborcze pod hasłami położenia kresu wojnie w Wietnamie oraz przywrócenia ludzkiej godności Murzynom. Oba te problemy są bardzo nabrały w społeczeństwie amerykańskim i mogą dać szanse popularnemu — i swoim stanowiskiem i z pamięcią o bracie — kandydatowi partii demokratycznej. Równocześnie w tej samej partii — ku zaskoczeniu wielu komentatorów — nadspodziewanie dobre wyniki we wspomnianym stanie New Hampshire otrzymał inny kandydat — MCCARTHY, uzyskując ponad 41 proc. głosów. I on głosi otwartą opozycję wobec aktualnej polityki Johnsona, opowiadając się za „rozsądnym pokojem w Wietnamie“.

Prasa amerykańska, komentując wyniki prawyborów w tym stanie, podkreśla wyraźnie, że powinny one być „sygnałem alarmowym dla obecnej administracji, iż naród amerykański kwestionuje politykę Johnsona“. „Był to — zdaniem tej prasy — pierwszy sprawdzian nastrojów, zwłaszcza wśród młodych wyborców“, że znaczna część klienteli partii demokratycznej zaniepokojona jest aktualną polityką amerykańską — zarówno zagraniczną, jak i wewnętrzną.

Johnson, który nie stanął do prawyborów, lekceważy uprzednio, jak wynika z waszyngtońskich doniesień, owe alarmowe sygnały, ale wobec tych wyników nie może pozostać obojętny. Szczególnie może się on niepokoić decyzją Kennedy'ego. W tej sytuacji niektórzy obserwatorzy rozważają możliwość zaproszenia przez obecnego prezydenta USA współprzewodnictwa Kennedy'emu, to znaczy wiceprezydentury. Z takiego zestawienia pary wyborczej Johnson mógłby odnieść oczywiście korzyść, wydaje się jednak wątpliwe, aby na to wyraził zgodę Kennedy.

A jak przedstawia się sytuacja w partii republikańskiej? I tu również można mówić o pewnej niespodziance. Wbrew bowiem oczekiwaniom wycofał się gubernator Romney i jedynym kandydatem byłego wiceprezydenta Nixona pozostał w miarę liberalny gubernator stanu New York — ROCKEFELLER.

Na pewno za wcześnie na snucie prognoz — ostateczny wybór kandydatów obu partii nastąpi dopiero w sierpniu: na konwencji republikańskiej w Miami i demokratycznej w Chicago, już jednak dziś można mówić o tym, że pozycja Johnsona jest podważana. Dlatego też tegoroczna kampania wyborcza zapowiada się szczególnie interesująco. Nie można wykluczać, że w 40 w kolejności wyborach prezydenckich w USA może powtórzyć się 1868 rok, kiedy to sprawujący władzę prezydent nie został ponownie wysunięty jako kandydat swej partii (był nim — nomen omen — Andrew JOHNSON). Do tematu przyjdzie nam jednak z pewnością nie raz powrócić, dlatego przejdźmy do innego zagadnienia.

Prasa codzienna zamieściła ostatnio wiele informacji o krachu na rynku złota. Z Londynu, Paryża, Waszyngtonu, Rzymu i Zurichu napływają bowiem informacje o wykupie w rekordowych ilościach tego cennego kruszca. Operacje 20—30 razy przekraczają średni poziom. W wielu stolicach zamknięto giełdy. Znosi się na podwyżkę cen złota, do czego przede wszystkim nie chcą dopuścić Stany Zjednoczone. Prezydent Johnson w ostatnich dniach ponownie zapowiedział cięcia wydatków rządowych, podobno rzędu 3—4 mld dolarów. Zapowiada się również 10-procentowa podwyżka podatków w USA. Mimo to możliwość devaluacji dolara jest realniejsza niż kiedykolwiek.

Pozostawiając na uboczu ekonomiczny aspekt zagadnienia, bardzo istotny, z pogranicza kryzysu systemu monetarnego, zwrócimy uwagę na jego polityczne reperkusje. Uwidoczniły się one przede wszystkim w W. Brytanii, gdzie na znak protestu przeciwko zamknięciu giełdy i rynku złota, podał się do dymisji dotychczasowy minister spraw zagranicznych — George Brown. Jego miejsce ponownie zajął Michael Stewart, pełniący funkcję szefa Foreign Office przed Brownem. Czy zmiana ta może wpłynąć na zmianę orientacji i kursu polityki brytyjskiej? Nie wydaje się. Jeśli cokolwiek może wnieść Stewart — to tylko dalsze pogłębienie zależności polityki Anglii od Stanów Zjednoczonych. Dymisja dotychczasowego ministra spraw zagranicznych może jednak poważnie ustrząsnąć rządowi Labour Party. Brown uważany był bowiem za najbardziej zaciekłego przeciwnika lewicy partyjnej. Czy i jak odbije się jego ustąpienie na układzie sił w brytyjskiej Partii Pracy — przekonamy się z pewnością w najbliższym czasie.

W. Stawski

TYGODNIK

© Robert Kennedy oznajmił, że zgłasza swoją kandydaturę na urząd prezydenta USA. Decyzja ta oznacza rozpoczęcie gorącej i pasjonującej walki wyborczej, której wyniku nie można jeszcze przewidzieć. R. Kennedy oświadczył, że Stany Zjednoczone znajdują się na niebezpiecznej drodze, igrają ryzykiem wojny światowej. Zmienił tę niebezpieczną politykę

wyczerpujących i intensywnych wysiłków. Naser podkreślił, że współczesna wojna wymaga naukowego podejścia i mistrzostwa w opanowaniu współczesnej broni. W związku z tym prezydent powiedział: „Należałem na przybycie radzieckich ekspertów, abyśmy się mogli nauczyć od nich wszelkich tajemnic i metod postępowania się radziecką bronią“. Pod-



Kiesinger: Nie mogę zrozumieć, czego chce od nas ZSRR, NPD — jest partią zupełnie małą — ot tak!

można tylko — kontynuował senator — za pomocą zmiany ludzi, którzy nią kierują.

© Dziennik chiński „Żen-min-zipao“ informuje, że przeszło 1 milion osób w prowincji Huan zostało objętych szkoleniem w ramach organizowanych kursów studiowania myśli Mao Tse-tunga. W rezultacie, rewolucja kulturalna, produkcja przemysłowa i rolna poczyniła wielkie postępy w tym rejonie.

© Agencja AFP podaje, że propagandowe ekipy armii wyzwoleńczej w Wietnamie, rozpowszechniają od wielu dni wiadomości po wszech Wietnamie, że pod koniec kwietnia i z początkiem maja nastąpi druga wielka ofensywa partyzancka.

© Jak informuje Agencja TASS, w Moskwie odsłonięto tablicę pamiątkową na cześć Wsiewołoda Meyerholda. Na tablicy widnieje napis: „W tym domu w latach 1928—39 mieszkał wybitny radziecki reżyser Wsiewołod Meyerhold“.

© Prezydent ZRA Naser, w czasie wizytacji oddziałów wojskowych stacjonujących wzdłuż linii przetrwania ognia, wygłosił przemówienie wobec korpusu oficerskiego, w którym m. in. powiedział: „Nie możemy uważać bitwy czerwcowej za koniec. Wiele armii na świecie poniosło klęskę, lecz osiągnęło zwycięstwo. To wymaga od nas

kreślił on, że Izraelczycy od lat szkolili się militarnie. Musimy pamiętać — powiedział Naser — że wróg kontynuuje przygotowania. W przyszłej walce, albo osłabniemy zwycięstwem, albo zostaniemy pobici i upokorzeni na zawsze. Nasza rewolucja trwa, a jej ostatecznym celem jest wolność, socjalizm, jedność“.

© Agencja „Tanjug“ donosi z Tokio, że ponad 35 tys. przedmiotów o wyjątkowo dużej wartości kulturalnej i historycznej przewiezionych zostało do Japonii z Chin od chwili rozpoczęcia rewolucji kulturalnej. Wśród tych przedmiotów znajdują się m. in. tak wyjątkowe dzieła sztuki jak pisma Wang Wei, cesarzy Hui Cunga oraz Mu Czi. Jeśli dzieła te okażą się oryginalnymi, to wartość ich będzie wprost bezcenna. Większość tych cennych przedmiotów sprowadził po swojej ostatniej podróży po Chinach przewodniczący Związku Nauczania Kalligrafii w Japonii — Kanpo Harada. Przedmioty o bezcennej wartości artystycznej kupowane były przez niego średnio w cenie 4 tys. jenów, tj. 11 dolarów za sztukę.

© Przywódca większości demokratycznej w senacie USA Mike Mansfield wystąpił z apelem na rzecz całkowitej rewizji polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych w świetle zmian w sytuacji międzynarodowej i licznych trudnych do rozwiązania problemów, przed jakimi stoi Waszyngton w kraju.

© Człogłowskakie pismo „Młoda Fronta“ komentuje stanowisko Rumunii zajęte w sprawie układu o zakazie rozpowszechniania broni jądrowej na naradzie w Sofii, stwierdzając, że rumuńskie uzupełnienie w dziedzinie gwarancji ze strony mocarstw atomowych i kontroli, są tak daleko idące, że praktycznie biorąc wniosek ten jest wnioskiem o rozbrojenie atomowe. Właśnie dlatego, w konfrontacji z dzisiejszą sytuacją światową jest to postulat utopijny.

© Izraelski pisarz Mosze Szamir, rzecznik stowarzyszenia na rzecz „Wielkiego Izraela“ wypowiedział się na konferencji prasowej przeciwko „jakimkolwiek koncesjom w kwestii ziem oswojonych“. Rząd — zdaniem tego szowinisty — nie powinien wzamian za pokój ofiarowywać Arabom ani kawałka „swego“ terytorium. Ruch na rzecz „Wielkiego Izraela“ — stwierdził inny członek tego ugrupowania — będzie walczył przeciwko jakimkolwiek tendencjom łagodzenia polityki izraelskiej wobec krajów arabskich.

© Według relacji Agencji AFP premier Czou En-lai miał wygłosić w dniu 2 lutego przemówienie, w którym oświadczył: „Chiny muszą się przygotować w tym roku do odparcia agresji amerykańskiej na swoim własnym terytorium“. Charakteryzując sytuację, w jakiej znalazł się Waszyngton, premier ChRL dodał: „Stany Zjednoczone znalazły się w Wietnamie wobec silnego wroga. Jest to spotkanie z wojną ludową, a dla Stanów Zjednoczonych oznacza to sytuację bez wyjścia. Jeśli zechcą one rozszerzyć wojnę, spotkają się z jeszcze większymi trudnościami. Ponadto kryzys złota rozwija się w dalszym ciągu i stwarza ryzyko powszechnego kryzysu w świecie zachodnim. Jest rzeczą oczywistą, że musimy się do tej sytuacji przygotować, a jeśli się przygotujemy, nadejdzie chwila, by skończyć z imperializmem. Oznacza to, że musimy się przygotować do zniszczenia imperialistycznej agresji amerykańskiej na ogromnym terytorium chińskim, bowiem ewentualne rozszerzenie konfliktu narzuca nam potrzebę przewidywania wszystkiego“.

© Amerykański tygodnik „Newsweek“ pisze, że prezydent Johnson nie spełnił pokładanych w nim nadziei i nie dostarczył „zdecydowanego i jasnego kierownictwa“. Po trzech latach stopniowej eskalacji strategia Johnsona — kontynuuje pismo — doprowadziła do impasu i ofensywa partyzantów w czasie święta Tet wykazała kompletną bezskuteczność wojennej polityki amerykańskiej. Stany Zjednoczone nie mogą się już odpać spodziewać niczego z punktu widzenia sytuacji militarnej, poza nie-rozegrana. Tygodnik wzywa administrację do wstrzymania

nia operacji „pościgu“ oraz do wycofania wojsk amerykańskich z rejonów pogranicznych. Byłoby wtedy możliwe rozpoczęcie rokowań, które nie powinny zmierzać do upokorzenia żadnej ze stron — kontynuuje tygodnik. W czasie tych rokowań Waszyngton powinien przedstawić formułę pokoju, dającą rzeczywiste korzyści także stronie przeciwnej. AFP zwraca uwagę, że jest to drugi wy-padek w 35-letniej historii tego tygodnika, kiedy zajął on wyraźnie sformułowane we własnym imieniu stanowisko.

© Kuba przygotowuje wielką, masową mobilizację robotników z miast do udziału w tegorocznych siewach wiosennych. Przeszło pół miliona ludzi z samej Hawany, spędzi dwa tygodnie albo więcej przy siewach w ramach planu zakładania tzw. „zielonego pasa“ wokół stolicy.

© W wyborach uzupełniających do Izby Gmin w jednej z dzielnic Londynu rządząca partia Labourzystów poniosła żenującą porażkę. Na kandydata partii konserwatywnej padło ponad 16 tys. głosów, labourystę — 1800.

© „Literaturna Gazieta“ zamieściła obszerny artykuł pt. „Prestiż w niebezpieczeństwie“. Autor artykułu — doktor nauk filozoficznych W. Jadow rozwija myśl, że stan badań socjologicznych w ZSRR nie odpowiada jeszcze poziomowi, który pozwoliłby socjologii spełnić liczne zadania w obecnym etapie rozwoju społeczeństwa radzieckiego. Trzeźwe spojrzenie na istniejący stan rzeczy — pisze autor — przypomina nam, że w ZSRR nie ma ani jednego dyplomowanego socjologa. Nie ma takiej specjalizacji w szkolnictwie wyższym. Oznacza to, że wśród setek uczestników konferencji socjologicznych w Moskwie, Leningradzie, Nowosibirsku czy Suchumi nie było nikogo, kto uzyskałby normalne wykształcenie socjologiczne... Socjologami ludzie stają się w ZSRR w drodze „samokształcenia“. Wielkie ogólnoświatowe sympozja socjologów stanowią dla uczestników jedną z możliwości zdobycia elementarnej wiedzy. Dlatego prawie połowa osób na podobnych spotkaniach naukowych — to laboranci i aspiranci. Jeżeli przyjrzymy się z daleka, wydaje się, że w naszym kraju są setki i tysiące wykwalifikowanych socjologów. Wszyscy to złudzenie, mierz.

tylko o samej Łodzi. Pewnie, że jestem przysłówiowa „kroplą w morzu“ i mój głos, moje pragnienia mogą się nie liczyć, ale człowiek wciąż myśli, że „Odgłosy“ to przecież zawsze pismo bliższe, bo nie z Warszawy, tylko z Łodzi.

Bądź co bądź, skoro już nie mogę nazwać się stałym czytelnikiem „Odgłosów“ (iko wie, może wkrótce będę mógł, to z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że jednak jestem sympatykiem „Odgłosów“ i pismu temu zawsze życzę jak najlepiej. Tak więc i z okazji jubileuszu życzę „Odgłosom“ pomyslnego rozwoju i coraz większego rozgłosu. Zespołowi Redakcyjnemu życzę spełnienia wszystkich zamierzeń z korzyścią i dla pisma, i dla jego czytelników. A sobie życzę... To już wyżej napisałem.

Wszystkiego najlepszego! Sto lat!

WALENTY JARECKI

Staw, p-ta Czarnożyty, pow. Wileń, woj. łódzkie

LISTY I REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Przed wszystkim składam serdeczne życzenia i gratulacje z okazji 10-lecia „Odgłosów“.

Był taki czas, kiedy „Odgłosy“ prenumerowałem i czytałem prawie „od deski do deski“, jak zresztą i wiele innych czasopism. Ale później przestałem prenumerować i systematycznie czytać. Nie znaczy to wcale, że w ogóle przestałem czytać „Odgłosy“. Owszem, kupuję od czasu do czasu coraz to nowszy numer tego pisma, gdy tylko w kioskach zobaczę, ale czynię to przeważnie, ze-

by się upewnić, czy się coś w tym piśmie zmieniło. Na lepsze i czy coś wreszcie znajdzie ciekawszego dla siebie. Bo to już tak jest, że każdy w czasopiśmie szuka coś dla siebie, szuka tego, co mogłoby go zachęcić do czytania, do zaprenumerowania tego pisma.

Może to z okazji jubileuszu nie wypada źle pisać o Jubileacie, ale ja jestem zawsze szczery, więc powiem o co mi chodzi. Kiedy zaprenumerowałem „Odgłosy“, byłem pewny, że jest to pismo łódzkie w szerszym znaczeniu tego słowa, a więc pismo nie tylko dla mieszkańców Łodzi, ale dla całego województwa łódzkiego. Ale gdy się czytałem, przekonałem się, że jestem oszukany. Po prostu oszukalem się, bo na łamach „Odgłosów“, niestety, z łódzkiej prowincji nie było żadnego reportażu, żadnego artykułu.

Przyznam się, próbowałem nawet Redakcję „Odgłosów“ do pewnego stopnia sprowokować, żeby zamieściła coś z naszego powiatu wielunińskiego. Wysłałem list. Czekalem,

może chociaż jakaś odpowiedź będzie. Ale nie. I właściwie do tej pory nie mogę się zorientować: czy „Odgłosy“ to pismo li tylko dla wielkiej Łodzi, czy też i dla całego województwa łódzkiego?

No cóż, nie podoba ci się, to nie czytaj — mógłby ktoś powiedzieć. Łatwo tak powiedzieć. Ale mnie jednak zawsze coś koci, żeby kupić. I kiedy tylko obok kiosku przechodzę, zatrzymuję się, kupuję „Odgłosy“. Kupuję, jeśli oczywiście tylko są w kiosku. A gdy kupię to i przeczytam. A zaczynam zawsze lekturę „Odgłosów“ od felietonów. Czytam „Lewym okiem“ i mimo woli przy-mrużam prawie oko.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja też interesuję się wielką Łodzią. Chętnie czytam i o łódzkich włókienniczach, i o łódzkim środowisku literackim, i o przeobrażeniach Łodzi. Ale skoro się już żyje na prowincji, na tej zapadłej łódzkiej wsi, to człowiek, chciałby też od czasu do czasu przeczytać coś i o tej prowincji, a nie

Jedziemy na WCZASY

Dalszy ciąg ze str. 1

przez robotników zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej m. Łodzi i woj. łódzkiego. Gospodarkę uspołecznioną przyjęliśmy w naszych rozważaniach, jako układ odniesienia ze względu na to, iż tylko zatrudnienie w tej gospodarce, jest w zasadzie pierwszym i podstawowym kryterium przydziału wczasów. Wszystkie inne, dalsze kryteria, mają za cel uściślić preferowanie grup zawodowych i społecznych.

Interesujący nas problem określenia stopnia udziału robotników w korzystaniu z wczasów, jest problemem złożonym i wymaga wielostronnego potraktowania. Ogólnie możemy przyjąć, że w równym stopniu działają tu czynniki, które moglibyśmy nazwać socjologicznymi, jak i czynniki ekonomiczne, związane z określonym układem warunków potrzebnych dla odbycia wczasów. Wydaje się, iż w odniesieniu do łódzkiego okręgu gospodarczego, działanie tych czynników jest podobne, jak w innych regionach kraju, a dane wynikające z analizy tego problemu w przybliżeniu odpowiadają danym krajowym.

Od wielu już lat organizatorzy wczasów z niepokojem śledzą stopień wykorzystania wczasów przez robotników. Jest to podyktowane z jednej strony troską o poprawienie struktury socjalnej wypoczywających i zbliżenie jej do aktualnej struktury zatrudnienia, a z drugiej strony koniecznością zapewnienia wypoczynku tym grupom społecznym, które tego wypoczynku potrzebują bardziej niż inne. Nie bez powodu w rozdzielnicach centralnych preferuje się przede wszystkim grupy przemysłowe, a wśród nich pracowników takich gałęzi gospodarki narodowej, jak: górnictwo, hutnictwo, chemia, przemysł włókienniczy.

Centralne decyzje nie zawsze jednak zabezpieczają i gwarantują prawidłowe wykonanie. Globalny rozdział wczasów ustala stopień przydziału, nie określając jego struktury, która jest wypadkową działania wielu złożonych czynników w niższych ogniwach aparatu rozdziału skierowań. To wspomniane wyżej niepokoję mają swoje uzasadnienie i swój obraz statystyczny, który, niezależnie od tego co o nim sądzimy i jak go komentujemy, obrazuje przecieł określone proporcje i tendencje. Oczywiście, że pragnieniem zarówno władz związkowych, jak i organizatorów wczasów, jest, aby kształtowały się one zgodnie z przyjętymi założeniami czy ustaleniami. Jeśli zatem odbiegają od tych założeń, to dzieje się tak dlatego, że istnieją jakieś luki w mechanizmie rozdziału skierowań, które znamy mniej lub więcej dobrze, a które nie zawsze potrafimy skutecznie eliminować.

Wiemy doskonale, że na przestrzeni ostatnich paru lat wskaźnik udziału robotników w korzystaniu z wczasów FWP w skali krajowej wykazuje wyraźne tendencje do stabilizacji, a nawet nieznacznie się obniża. Nie przekroczył w każdym razie do 1966 roku 45 proc. Stanowi to zaledwie trochę więcej niż połowę wskaźnika zatrudnionych robotników w gospodarce uspołecznionej, a znacznie mniej jeśli założymy, że kwalifikacja zawodowa w naszej gospodarce jest rzeczą nader płynną. Wiele osób, np. zatrudnionych w grupie pracowników fizycznych (formalnie), wykonuje prace zdecydowanie uznane jako umysłowe. Nie jesteśmy w stanie określić stopnia tego błędu strukturalnego, ale przyjmując, że dotyczy on w rów-

nym stopniu liczby zatrudnionych robotników w gospodarce uspołecznionej, jak i liczby robotników korzystających z wczasów, należy uznać proporcję powyższą za odpowiadającą rzeczywistości.

W odniesieniu do łódzkiego okręgu gospodarczego, analogiczne dane odpowiadają w przybliżeniu danym krajowym. Wyższy stopień udziału robotników w korzystaniu z wczasów wynika z wyższego stopnia ich zatrudnienia. Te proporcje i zależności obrazuje niżej przytoczona tabela:

UDZIAŁ ROBOTNIKÓW W KORZYSTANIU Z WCZASÓW FWP W LATACH 1962-1966 (W LICZBACH WZGLĘDNYCH)

Lata	W kraju	W m. Łodzi i woj. łódzkim
1962	33,8	34,5
1963	41,2	40,6
1964	44,2	57,6
1965	44,4	51,9
1966	43,2	47,8

Źródło: Dane krajowe — „Rozwój Gospodarki i Społeczny PRL 1963-1966”, CRZZ i GUS, 1967 r., s. 119, Tabl. 15. Dane dla m. Łodzi i woj. łódzkiego — Wojewódzkie Biuro Skierowań.

Widzimy więc, iż na przestrzeni cytowanych lat rysuje się stabilizacja udziału robotników w korzystaniu z wczasów, a nawet tendencja do jego obniżania. Chcąc dokonać próby oceny przytoczonych danych musimy stwierdzić, że świadczą one o istnieniu strukturalnych przyczyn, które uniemożliwiają podniesienie się tych wskaźników lub wręcz je hamują. Niepokojąca jest ta stabilizacja również ze względu na równomierność jej występowania w dłuższym okresie czasu. Świadczy to może w równym stopniu o braku odśrodkowych tendencji „walki” o wczasy ze strony robotników, jak również o niebezpieczeństwie działania mechanizmu administracyjnego rozdziału na zasadzie z góry określonej struktury.

Argumentacją takiej tezy mogłyby być dane dotyczące struktury korzystających z wczasów w latach pięćdziesiątych. Np. w 1950 r. robotnicy stanowili w skali krajowej — 38 proc. ogółu wczasowiczów, w 1952 — 40 proc., 1954 — 46 proc., 1956 — 27 proc., 1958 — 19 proc., a w 1960 — 44 proc.). Te znaczne wahania strukturalne świadczą o istnieniu w tym okresie różnego rodzaju oporów robotników przed odbywaniem wczasów, ale również i o przewyższeniu tych oporów i zdobyciu sobie prawa do wypoczynku. Można powiedzieć, iż opory te były zjawiskiem przejściowym i w rezultacie doprowadziły do zrozumienia przez robotników walorów wypoczynku wczasowego. Wahania struktury korzystających z wczasów, jak barometr rejestrowały wzrost i spadek zainteresowania robotników wczasami. Nie można natomiast stwierdzić tego w odniesieniu do lat ostatnich. Również nie wytrzymuje krytyki argumentacja, że wczasy typu FWP nie znajdują się w sferze wzorów wypoczynkowych robotników, których tradycje kulturowe, nawyki i aspiracje wypoczynkowe nakierowane są na osiąganie innych celów. Robotnicy chcą wypoczywać na wczasach i doceniają ich wartości socjalno-wypoczynkowe. Wzrost świadomości o sobie przez robotników tych wartości jest proporcjonalny do wzrostu stopnia ich udziału w korzystaniu z wczasów na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat.

Z obliczeń, opartych o dane Woj. Biura Skierowań wynika, że wykorzystanie wczasów przez robotników wzrosło prawie dwukrotnie w okresie pięciu lat, 1962-1966, gdy natomiast wykorzystanie wczasów ogółem wzrosło zaledwie o 36 proc. Rzecz w tym, że od przynajmniej trzech lat zaczynają działać czynniki, które hamują wzrost udziału robotników w korzystaniu z wczasów. Dotyczy to zarówno zatrudnionych w łódzkim

okręgu gospodarczym, jak i zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej kraju. Istnieje tutaj niewątpliwie ścisły związek z dynamiczną rozbudową związkowej bazy wypoczynkowej, której największy rozwój zaczął się od 1966 roku i stał niewątpliwie spadek udziału robotników w korzystaniu z wczasów FWP w tym roku (tabela 1) Przekonywujących danych dostarcza analiza wykorzystania wczasów przez robotników m. Łodzi i woj. łódzkiego według przynależności związkowej. Spadek udziału robotników w tych grupach związkowych, które w wymienionym roku rozwinęły wypoczynek typu zakładowego lub związkowego.

Więc szczególnie w ZZ Prac. Budowlanych, Chemików, Górników, wyjątkowo dużo w ZZ Hutników, Prac. Handlu i Spółdzielczości, Prac. Łączności, Transportowców i Drogowców, wreszcie w ZZ Prac. Przem. Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego. Ta grupa związków zawodowych, w roku 1966, szczególnie rozwinęła bazę wypoczynkową.

Ale nie tylko powstanie obok FWP tego drugiego układu wczasowego spowodowało „ucieczkę” robotników. Musiały tu zaistnieć, wydaje się, aspekty związane z zagadnieniem rodzajów wczasów. Wiadomo, iż wczasy typu związkowego i zakładowego preferują bardziej wypoczynek spędzany rodzinnie, a ten rodzaj bardziej odpowiada robotnikom. Z chwilą gdy powstały możliwości wypoczynku z rodzinami w zakładowej i związkowej bazie wypoczynkowej, robotnicy wybrali ten rodzaj wczasów, powodując wyżej cytowane przekształcenia w strukturze wypoczywających. W związku z tym zachodzi pytanie, czy w przyszłości przekształcenia te będą się pogłębiać, powodując dalszy spadek udziału robotników w korzystaniu z wczasów FWP? Aby odpowiedzieć na to pytanie musimy dokonać krótkiej analizy czynników warunkujących i umożliwiających odbycie wczasów. Do nich w pierwszym rzędzie należy zaliczyć długość ustawowego urlopu wypoczynkowego dla pracowników fizycznych.

Biorąc za punkt wyjścia formalną stronę długości urlopu, to możliwości korzystania z wczasów posiadają ci robotnicy, których wymiar urlopu mieści się w granicach od 15 do 30 dni, czyli 71,6 proc. Pozostała liczba robotników (28,4 proc.) nie posiada możliwości korzystania z wczasów. Jeśli jednak uwzględnimy pozaformalne czynniki, wpływające również na możliwości korzystania z wczasów, np. posiadanie pewnej rezerwy urlopowej na przygotowanie się do wczasów, na wykonanie prac domowych, odkładanych na okres urlopu, to możemy przyjąć, iż najbardziej sprzyja wykorzystaniu wczasów wymiar od 19 do 30 dni. Urlop w granicach od 10 do 18 dni nie stwarza, ogólnie biorąc, dostatecznych warunków do odbycia wczasów. W każdym bądź razie na pewno wyklucza wyjazd wczasowy do odległych miejscowości wypoczynkowych. Długość tego jest również tendencją budowania bazy wczasów związkowych i zakładowych w pobliżu środowisk pracy. Ta tendencja jest skutkiem społecznych preferencji, na których kształtowanie się również wywarł wpływ obowiązujący wymiar urlopowy.

Ten hamujący wpływ czynnika urlopowego na wykorzystanie wczasów przez robotników, powinien w przyszłości ulec osłabieniu. Każde następne lata zatrudnienia przynioszą robotnikom nabytę praw do większego wymiaru urlopowego. Zatem wskaźniki wykorzystania wczasów będą ulegać przekształceniom na korzyść robotników, stwarzając w ten sposób potencjalną rezerwę wczasowiczów.

Bardziej hamujący niż czynnik urlopowy działają na wykorzystanie wczasów przez robotników czynniki natury socjologicznej. Występuje tutaj szereg zjawisk powodujących opory i niechęć robotników do wczasów FWP. Opory te mają swoje źródła w tradycjach kulturowych, sposobach i formach spędzania wypoczynku, jak również w trudnościach, jakie napotyka robotnicy w utrzymaniu skierowań. Aktualny system rozdziału skierowań nie gwarantuje jeszcze sprawiedliwego ich podziału. Wśród robotników istnieją przekonania, że i tak większość atrakcyjniejszych skierowań trafi do rąk pracowników umysłowych, którzy, z ta-

kich czy innych względów, mają do nich łatwiejszy dostęp. Niemalże wpływ na takie opinie wywiera zagadnienie częstotliwości pobytu na wczasach. Wiadomo, że w grupie pracowników umysłowych ta częstotliwość jest większa niż wśród robotników. Nie tylko dlatego, że pracownicy umysłowi uświadamiają sobie bardziej cenne walory wypoczynku, ale także dlatego, że ich starania o ten wypoczynek są bardziej intensywne i umożliwiające posiadaniem lepszych kontaktów i lepszej znajomości mechanizmu podziału.

W dalszym ciągu aktualny jest wspomniany wyżej, problem sposobów i form spędzania wypoczynku wczasowego. Nie chcemy sugerować tutaj twierdzenia o jakimś upośledzeniu robotników przez inne grupy społeczne, przebywające na wczasach, ale trzeba stwierdzić, że środowisko wczasowe nie zawsze stwarza robotnikom dogodną atmosferę spędzenia wczasów. Jeszcze raz wypada nam, jako dowód przytoczyć wczasy zakładowe i związkowe, w ramach których integracja grup społecznych, jest niewątpliwie większa, przebiega bezkonfliktowo, wzmacnia kontakty zawodowe między pracownikami tego samego zakładu pracy. Pobyt na wczasach zakładowych, czy związkowych, ma także ujemne strony, ale równoważy je właśnie ta atmosfera oraz fakt, że są to na ogół wczasy spędzane rodzinnie. Ten rodzaj wczasów dominuje w związkowo-zakładowym wypoczynku i, jak oblicza się, obejmuje 90 proc. wypoczywających.

Wnioski ogólne, jakie nasuwają się w związku z rozważaniami w odniesieniu do stopnia wykorzystania wczasów przez robotników m. Łodzi i woj. łódzkiego, sprzeczają się z zasadą do stwierdzenia kilku faktów. A mianowicie: FWP będzie musiał jeszcze bardziej rozwijać rodzinne formy wczasów, prowadzić badania struktury wypoczywających. Aparat rozdziału natomiast, pojęty w szerokim tego słowa znaczeniu, musi uprzywilejować robotników, jako grupę społeczną, której stopień zatrudnienia w gospodarce uspołecznionej i znaczenie w tworzeniu dochodu narodowego, predysponują do zwiększenia udziału w korzystaniu z wczasów FWP.

ZDZISŁAW PIGON

1) RS 1967, s. 71, tabl. 7.

2) Dane WKZZ.

3) Por. W. Kawalec: „Określi przemysłowe i regiony ekonomiczne w Polsce”, PWE 1965, s. 232.

4) Por.: „Robotnicy na wczasach w pierwszych latach Polski Ludowej”, Ossolineum 1963, s. 192.

Wszystkim sympatykom naszego pisma dziękujemy za nadesłane życzenia z okazji 10-lecia „Odgłosów”.

Kwotę przeznaczoną na organizację uroczystości jubileuszowych, redakcja postanowiła przekazać na rzecz budowy Pomnika Centrum Zdrowia Dziecka.

Nożycami przez PRASĘ

ZAGADNIENIA ETYCZNO-DEONTOLOGICZNE

Coraz nieporęczniej bez słownika wyrazów obcych. Nie tylko dlatego, że ich nadużywamy, ale też i dlatego, iż życie zmusza do wprowadzania w obieg nowych terminów i pojęć. Nie dziwnego, że słownik Kopalińskiego znikł z półek księgarskich w try miga. (W jednej chwili! Od razu można by tak napisać, ale... zle przyzwyczajenie). Deontologia to stare pojęcie, oznaczające dział etyki, traktujący o obowiązkach moralnych.

Po tym wyjaśnieniu możemy przystąpić do przedstawięcia rozważań, jaka przeprowa dziło „Prawo i życie” z prezesem PTL (Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, coraz trudniej bez skrótów!).

W świetle nowych osiągnięć medycyny — rozmowy mają na uwadze przeszczerzyć — zasady etyczno-deontologiczne powinny być jeszcze troskliwiej i surowiej egzekwowane. Prof. dr Koszarowski broni lekarzy przed zarzutem zainteresowania pieniężnego, pochopnie przez pacjentów wysuwany. Przypomina:

Wiadomo, że lekarze są jedyną grupą zawodową nie chronioną ustawowym 8-godzinnym dniem pracy (przebiegiem przez pierwszych kilka nacięć lat po wojnie wynosiła 13 godzin). Wiadomo, że 5-tysięczna garstka niedobitków z hitlerowskiej nagonki (jedna z najbardziej łepiowych grup społecznych) wykonała gigantyczne zadanie przejęcia w opiekę ogromnej grupy ubezpieczonych, objęcia posterunków na ziemiach od-

zyskanych, zapobieżenia epidemiom, które przecież — nie cudem — nie wybuchły, w tak ciężkim okresie powojennej wędrowki ludów w potwornych warunkach sanitarnych — epidemiologicznych. Wykonali to ludzie w większości starzy i wyczerpani, właściwie za kromkę chleba (nie na leży wyjątków używać jako podstawy oceny ogólnej — to błąd logiczny i dyalektyczny). Lekarze przechodzą jedne z najdłuższych i najtrudniejszych studiów, ich praca zawsze ma charakter rozwiązywania zagadnień indywidualnych, prototypowych. Są jednakże w Polsce jedną z niżej wynagradzanych grup wśród ludzi z wyższym wykształceniem.

Dodajmy, że zaledwie 30 proc. z pośród 43.000 lekarzy prowadzi praktykę prywatną. Bez której nieraz i pacjentom trudno się obejść.

Przez wiele lat nie uczono studentów medycyny etyki i deontologii lekarskiej. To trzeba odrobić.

Pierwszym krokiem niewątpliwie była szeroka dyskusja w środowisku lekarskim, zakończona sformulowaniem zasad etyczno-deontologicznych Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w 1967 r. Mam nadzieję, że po krytycznej ocenie tego zbioru przez inne

Towarzystwa (specjalistyczne) będziemy mogli w przeciągu najbliższych 2-3 lat skorygować „Zbiór” przyjąć jako „Zasady Etyczne Lekarskie Polskie”. Bez tego sprzecywnia przedmiotowi w nowych warunkach społecznych, nie można poważnie pracować.

W dalszym ciągu rozmowy Profesor stwierdza:

Palącym zagadnieniem wydaje się nam najszybsze wprowadzenie w życie od dawna przygotowywanych ustaw „o zawodzie lekarza”, „o sadownictwie lekarskim”, „o prawniczym lekarskim”.

I na koniec uwaga natury bardziej ogólnej, pod którą trudno byłoby się nie podpisać:

Zdajemy sobie jednak sprawę do końca, że to tylko początek pracy. Na pewno nie da się np. wyeliminować właściwego uregulowania elementów ekonomicznych. Eliminowanie czynników ekonomicznych z tak rozległej dziedziny życia jest nie realistyczne i chyba nie marksistowskie. Przecież „każdemu według jego pracy...”

DWA MODELE SUKCESU ŻYCIOWEGO

Jest ich o wiele więcej, różny mają zasięg, ale dla jasności zagadnienia reportaży-

ta „Życia Literackiego” Zbięgniew Kwiatkowski ogranicza się do dwóch biegunowo się różniących.

Z współistniejących dwóch modeli sukcesu — wybitny specjalista i „człowiek z głową” — ten pierwszy jest mało atrakcyjny. Jeszcze wzór piosenkarza jako, w mniemaniu powszechnym, świetnie opłacanego „speca” od rozrywki, pociąga dość licznych młodych ludzi. Ma swoją legendę pojęcia lekarza, ale ta wydaje się błędna. Sukces faceta który dzięki „głowie” umie sobie załatwić zamówienie na 100 000 zakładek do książek a 3 zł sztuka (100 000 × 3 = 300 000 zł) — czymże przy tym sukcesie jest kariera inżyniera, fizyka, chemika nie mówiąc już o karierze urzędnika, czy zgoła nauczyciela?

Gdy się powziadało „A”, trzeba powiedzieć i „B”...

Okazuje się — np. — że po dwudziestu dwóch latach budownictwa socjalizmu w tym kraju wciąż ogromną rolę odgrywa czynnik tzw. materialnego zainteresowania. A może nawet coraz większe z różnych powodów? Z czym można by się zgodzić, gdyby nie to, że owo „materialne zainteresowanie” przybiera niejednokrotnie formy karykaturalne. Wtedy cel (materialny)

osiąga się nie pracą, ale „sztuką”. Co dziwniejsze — udział ludzi młodych w tych zabiegach jest bardzo znaczny.

A więc „sztuka” i sposobem. Dorzućmy do tego pokubujący w wyobraźni niektórych rodaków mit łatwego sukcesu materialnego na Zachodzie. Wystarczy posłuchać rozmów przygodnych towarzyszy podróży w pociągach i dalekobieżnych autobusach. Jakże często urzeka ten mit ludzi, którzy osobiście nie reprezentują ani autentycznych kwalifikacji, ani rzutkości — mogącej najwyżej spryt i przebiegłość czyli zdolność wymigiwania się, która akurat w stosunkach zachodnich nie ma znaczenia, natomiast u nas, niestety, owszem, jakże często ułatwia i umila egzystencję.

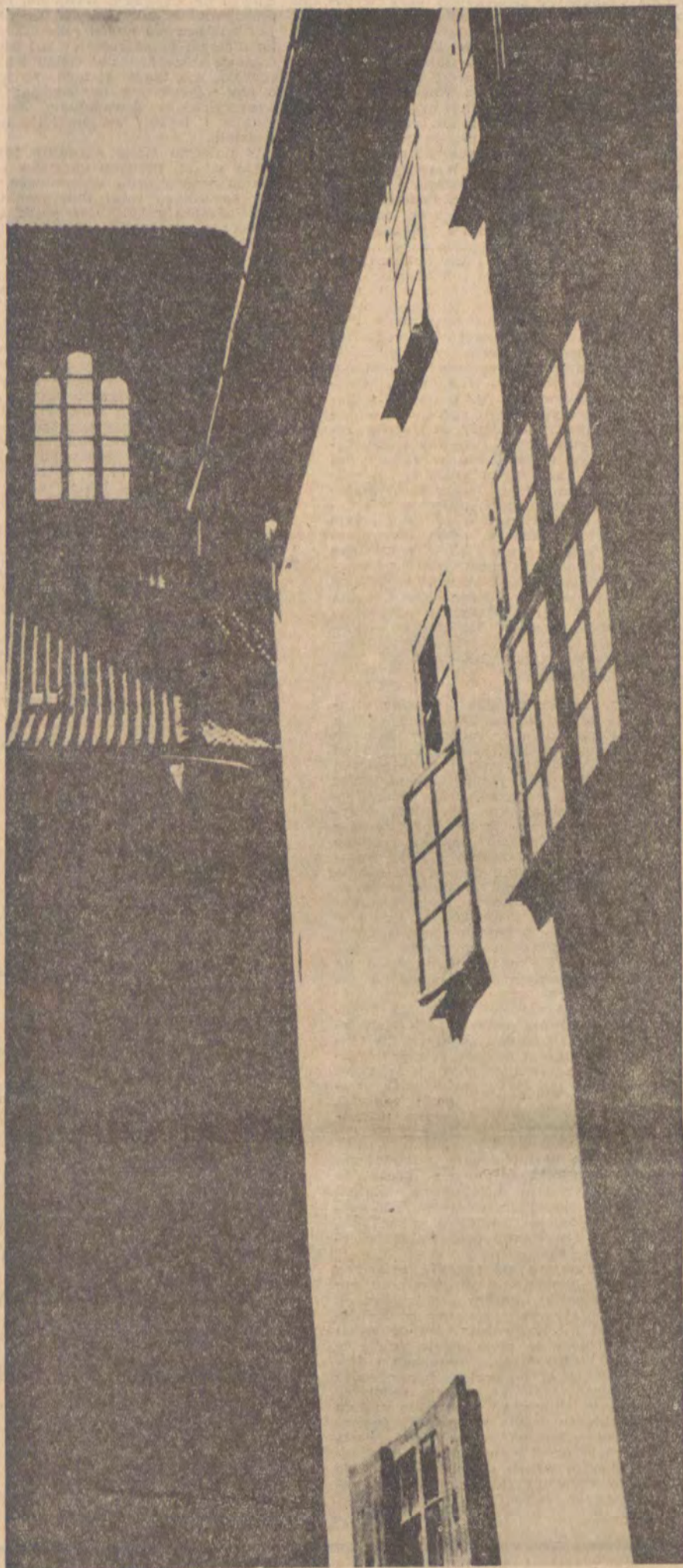
ZAMIAST HERBATY

Notatka z tygodnika „Życie gospodarcze”:

Kierownictwo jednego z zakładów przemysłowych w Radomiu, pragnąc dowiedzieć się, jak odbywa się personel, obejrzało pewnego dnia przynieszone do pracy, śniadania. Przy okazji skonfiskowano łącznie 20 litrów wódki niesłusznie do popicia.

Był to zapewne bardzo markotny dzień!

JAN OLECHNO



ROMAN GORZELSKI

MECZ śmierci

O tym, jak wielką miłością darzą swoich ulubieńców Ukraińcy, chyba domyślają się wszyscy. I nie zresztą w tym dziwnego. Najlepsza to jedenastka z całego Związku Radzieckiego i dumni są ze swojej drużyny piłkarskiej kijowian, a sukcesy tych chłopaków traktują jak swoje własne sukcesy i tak samo z wielkim przejęciem przeżywają ich porażki. „Mołodcy”, albo „kozaki” — mówią o nich, a oznacza to najwyższą pochwałę w ustach kibiców. I z opuszczonymi głowami, jak z pogrzebu wracają do domów, kiedy ich drużyna przegra jakiś mecz, chociaż ostatnio naprawdę bardzo rzadko jej się to zdarza. A dzień, w którym ma grać jedenastka kijowska jest tak przesycony rozmyślaniami o tym wydarzeniu, że nawet gdyby w tym samym terminie miał być zapowiedziany koniec świata, to i tak dla kijowian mecz z udziałem ich drużyny byłby ważniejszy. „O, ŁKS, my chcemy twojej sławy” — śpiewali kiedyś przed wieloma laty, a dla kibiców „Dynamo” z Dniepru jest to czas teraźniejszy. I chyba jeszcze długo czasem teraźniejszym pozostanie. Przynajmniej, jak dotąd wszystko na to wskazuje. I kijowanie cieszą się ze sławy i wysokiej formy dynamowców. A dzień przegranej meczu jest nieomalże równoznaczny z żałobą narodową. Przez kilka następnych dni obniża się znacznie wydajność pracy, jak stwierdzają socjologowie, ale za to zwiększa się ilość wypitych butelek piwa „Żygułowskiego” i wina „Kahor”, czy też znakomitych armeńskich koniaków. Takie to czarodziejski wpływ ma „Dynamo” na Ukraińców, a oni za swoją natrętą, przesadną wierność — domagała się nagrody w postaci deszczu strzelonych bramek.

I oto jestem na kijowskim stadionie. Oczywiście zupełny przypadek zdecydował, że dostałem się na ten mecz, na który już na kilka dni naprzód wszystkie bilety zostały wyprzedane, a jeżeli ktoś chciał kupić — mógł dokonać takiej transakcji, ale tylko pokatnie i to za niezwykle wygórowaną cenę. Ale ponieważ mój przyjaciel dziennikarz nagle musiał wyjechać w dość daleką podróż służbową — ja zająłem jego miejsce na szczelnie wypełnionej trybunie, obiecując mu, że wszystko dokładnie cały przebieg meczu opowiem. Ale zwrót „szkoda, że państwo tego nie widzą” często używany, i nadużywany przez naszych sprawozdawców sportowych, relacjonujących nam przez radio niektóre co ciekawsze zawody — jest tak wymowny, że nawet nie będę się silił na pobieżne przekazanie tego wszystkiego co się tam działo. Żaden język nie jest w stanie opowiedzieć, żadne pióro opisać tego nie zdoła. Telewizja również tylko w części zaspokajała apetyty zgłodniałych kibiców. A że w tym przypadku przysłowiowy Tatarzyn na przysłowiowego Kozaka się natknął — to już inna sprawa. „Tatarzyńcem” była tym razem znakomita drużyna szkocka „Celtic” (Glasgow). Szkoci przyjechali po zwycięstwo. I wszystko

na to wskazywało, że tak będzie, bo przecież w przeciwnym wypadku nie trudziłoby się długą podróżą kilka tysięcy Szkotów-kibiców. I oto widzę krzasiaste czapki z pomponikami, spódnice krzasiaste i szkockie flagi. Oni oczekują zwycięstwa od swoich chłopców. Są tu przedstawiciele różnych klas, robotnicy, urzędnicy, kupcy, farmerzy. A Szkoci są równie zapalonymi kibicami jak i Ukraińcy. I oni także bardzo nie lubią jak ich faworyci przegrywają. Pamiętam, na meczu w Glasgow kilka lat temu, Szkoci przegrali jeden do zera z Anglikami — swoimi zagorzałymi przeciwnikami; przez wiele godzin Szkoci-kibice okupowali stadion żądając zwrotu pieniędzy za przegrany mecz. Bawili oni przyszedł tam po to, by nasycić oczy zwycięstwem swoich pupilów. Ale w przypadku gdyby stosowano odpłatność, przegrana „Celtica” drożej by kosztowała, bo to i podróż dość daleka... A tym razem szanse na zwycięstwo były równe, leżały po obu stronach boiska, na którym stanęli na przeciwko sobie wysokiej klasy przeciwnicy. I specjalistów od piłki nożnej zjechało się co niemiara na ten bądź co bądź kijowski mecz stulecia. I na wiele dni przed meczem na Ukrainie tematem numer jeden była piłka nożna. Obiegano zawodników, trenerów, stawiano horoskopy. Wynik meczu było trudno przewidzieć. Ten obiektywny, bo wszyscy kibice „Dynamy” twierdzili, że „kozacy” wygra i to wysoko, więcej bramek strzela Szkotom niż za pierwszym razem... Ale jak wiemy, stało się inaczej, chociaż i ten remisowy rezultat wystarczał „Dynamowcom” do wyeliminowania dotychczasowego zdobywcy Pucharu. Ale jeżeli już przy tym jesteśmy, warto chyba przypomnieć, że najgroźniejszym na terenie Związku Radzieckiego przeciwnikiem kijowian jest moskiewskie „Dynamo” z najlepszym aktualnie bramkarzem świata — Lwem Jaszynem na czele, którego kariera sportowa zaczęła się w taki sposób:

— Jak większość moskiewskich chłopaków — mówi Jaszyn — grąłem początkowo w piłkę na podwórzu, a potem w szkolnej drużynie. Jednocześnie interesowałem się bardzo hokejem. Kiedy zacząłem pracować w fabryce w Tuszyne — grąłem w drużynach fabrycznych, aż trafiłem do „Dynamy” i tam właśnie dostałem się w ręce cudownego pedagoga i wspaniałego człowieka Arkadija Czernyszowa. Kierował on młodzieżowymi drużynami hokeistów i piłkarzy. Tak naprawdę to dopiero tutaj rozpoczęło się dla mnie to rzeczywiste granie w piłkę nożną.

— Kto był dla pana przykładem, kogo pan naśladował?

— Przykładów do naśladowania było więcej niż można się było spodziewać. Jak wszystkim zresztą moim rówieśnikom bardzo się podobała gra znanego swego czasu bramkarza moskiewskiego „Spartaka” — Włodzimierza Zmiejkowa, a potem dynamowca Aleksieja Fomicza, którego uważałem za swojego nauczyciela. Słyszałem, oczywiście, o takich światowej sławy bramkarzach jak Zamorra i Planiczka.

— Jest pan bardzo dobrym bramkarzem, ale pańskim zdaniem, jakie są słabe strony pańskiej gry?

— To wszystko zależy od stopnia przygotowania, stanu psychicznego i szeregu innych czynników. Jeżeli dobrze trenowałem, jestem wypoczęty i pewny siebie, wówczas żadna piłka nie jest straszna i każdy strzał jest do wyłapania. Zupełnie zrozumiałym jest, że i ja miałem cały szereg nieudanych pitek i przegranych sytuacji na boisku, ale, powtarzam, wiele, cho-

Gidle

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Służąca miała na imię Stefania i była brzydka jak noc. Między trójkątnie sfalowanymi mongolskimi powiekami tkwiły twarde — fanatyczne oczy — oczy zdecydowanej dewotki. Cała twarz: policzki, nos, szyja, nawet uszy pokryte były brodawkami dużymi i małymi — służąca nie na darmo nazywała się Chrostek.

— Cóż może robić czterdziestoletnia dziewczyna, która cnotę postanowiła ofiarować Bogu?

— Tylko pracować, modlić się, nieustannie wysługiwać sobie niebo.

Miała jeden mankament, z którym trzeba było się pogodzić: od czasu do czasu musiała odbywać parudniowe pielgrzymki śpiewające do miejsc świętych lub innych, słynących cudami.

I z tego powodu utkwiała mi w pamięci cudowna miejscowość Gidle — bo Stefania ciągle, prawie bez przerwy — po całych

dnach wyśpiewywała długo, niekończącą się działowsko-ludową pieśń do Matki Boskiej Gidelskiej, do której miała szczególną atencję.

Pieśń miała coś 300 zwrotek — o cudownym znalezieniu w roli, reakcji bydła ornych, wieśniaczej, wykopaniu figury, postawieniu kaplicy, kościoła, klasztoru, cudach i tak dalej.

Stefania znała cały taslecmowy utwór na pamięć i wysługiwała sobie wieczną szczęśliwość i koronę dziewczicą w niebie. Pieśń zaczynała się tak:

„Najświętsza Panno Gidelska,
Tyś jest Pani Archanielska,
Wielkie cuda uczyniła,
Gdyś się w roli objawiła.

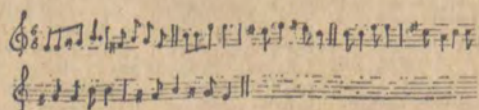
Objawiła się wieśniakowi,
Pracowitemu rolnikowi,
Który orał w par bydłą,
I wyorał obraz święty.

Bydłęta obraz ujrzęły,
Na kolana poklekały
A on bije i katuje
Jeszcze zabić obiecuje.

Obejrzał się w prawą stronę,
Ujrzał obraz i koronę
Sam uklęknął z uciechą
I podniósł obraz z radością.”

— i tak dalej — aż 300 zwrotek.

Mógł to wytrzymać tylko człowiek sposobny się na szczęśliwą wieczność.
A melodia jednej zwrotki brzmiała tak:



Stefania, gdy zaczęła, cały utwór musiała odśpiewać, a my wialiśmy z domu, dusząc w sobie śmiech lub nerwy — bo wcale nam się do wiecznej szczęśliwości nie spieszyło.

Ale zacna Stefania dopięta swego: ta działowska melodia utkwiała już nam w uchu na zawsze: — nigdy i nigdzie jej potem więcej nie słyszałem.

— Mało! — Sama nazwa Gidle w miarę śpiewania litanii stawała się coraz bardziej egzotyczna — nie z tej ziemi. Same cuda.

I byłaby zacna bogobojna Stefania osiągnęła wreszcie po wielu latach wielką nagrodę dla dziewczic za wytrwałość w cnotcie — gdyby nie zdarzenia, które całkowicie przekreśliły jej rachuby.

Otóż pewnego pogodnego popołudnia wzięła koszyk i poszła sobie śpiewając do lasu na grzyby. Po niejakiem czasie pędem wróciła z wielkim wrzaskiem, bez koszyka, rozczochrana w poszarpanym odzieniu — okazało się, że zgwałciła ją dwóch jakichś drabów. Jakież nieszczęście zmusiło tych drapież-



tów, że zdecydowali się odebrać gwałtem cnotę pobożnej Stefani?

A Stefania całkiem na początku zwariowała, przez parę dni histeryzowała, ciągle tkwiła w kościele, leżała płaciekami na posadzce i ciągle się spowiadała za winy niepopelnione. No bo jakże? — Stracić nagle tak długo hodowany klejnot?

To tragiczno-komiczne wydarzenie odmieniło Stefanię do tego stopnia, że przestała wyśpiewywać litanie, zamilkła, opuściła się w obowiązkach i przesiadywała ciągle w kościele — i zdaje się za sprawą zanego proboszcza znalazła narzeczonego — słarszka ledwo włóczącego nogami, ale za to posiadającego chałupę na piaszczystym

Przeprawa

Wyszliśmy z piwnicy wraz z porucznikiem, dowódcą kompanii cekaemów, i stanęli w mroku zapatrzeni w płonące miasto. Pożary chwiały się szeroką łuną unurzane w powolnym nurcie rzeki.

— Nigdy nie widziałem Wisły — powiedział porucznik. — Ani Warszawy.

— Ja też nie.

— Jestem z Wołynia. Z 27 Dywizji.

— Akowiec?

Jak zawsze przed szturmem osaczały nas przecucia, wspomnienia, coraz ciśniejszy krąg niespokojnych myśli.

— Boisz się? — spytałem cicho.

— Tak — powiedział z prostotą. — Nie umiem pływać, może dlatego tak się boję.

To, że był tak szczery, przyniosło mi ulgę.

— Ja umiem, a też się boję. Chyba każdy się boi.

— Popatrz, co oni tam robią, ci Niemcy — powiedział. — Żeby im już skoczyć do gardła...

Potem zesłaliśmy oddziałami na sam brzeg, napięcie jeszcze wzrosło — aż wreszcie padł rozkaz:

— Spychać do wody!

Od razu wydało mi się, że jest nas mniej: straciłem kontakt z innymi pontonami, ważny był tylko mój, z którym biegliśmy w rzekę, rozchlapując płycizny, zapadając po pas i brnąc dalej w zimną wodę martwo zastalą u brzegów. Wskoczyłem na oślizły, napawający nieufnością gumowy twór. Co sił wzięliśmy się za byle jak wystrugane wiosła, rozgarnialiśmy czarną toń, chcieliśmy robić to cicho, lecz chlupot wokół naszego pontonu i tam, gdzie płynęli inni, wydawał się tak głośny, że chyba było nas już słychać na przeciwnym brzegu. Płynęliśmy powoli, zbyt wolno, mocniej cisnąć, chłopaki, mocniej, do diabła, przeklinałem, tuż za mną modlił się głośno Cetyniec, Matko Boska Częstochowska, zmiłuj się nad nami, skurwysynie, wiosłujcie, modlić się będziecie na brzegu.

Wreszcie mocno zakolysało, znak, że dopłynęliśmy do głównego nurtu, cisza, tamci nas jeszcze nie odkryli, aż dziw, bo na niebie, nad zachodnim brzegiem bez przerwy wisiały rakiety, przedziwne, chłopaki, mocniej, z wysiłku i emocji serce miałem w gardle, przedziwne, raz dwa trzy cztery, podawałem tempo jak na regatach, oślepieni odbłaskami w rzecę, czerwonymi, sinymi. Boże! myślałem, że by tylko dopłynąć do tamtego brzegu! Śmierć na środku rzeki wydawała mi się zbyt potworna, to jakby śmierć podwójna. Nurt pod nami coś szeptał, Wisła tego września była obłąkawsza jak stara leniwa klacz. Donieś nas do brzegu, mógłbym się do niej modlić, donieś do tamtego brzegu, przecież jesteśmy swoi. Bryzgi wody zalewały oczy, chłopcy wioślowali o swe życie, byłem cały mokry, po twarzy spływała woda, czułem jej smak, gorzkawy od mego potu.

Byliśmy już chyba na środku rzeki: obejrzałem się za siebie, czarna noc wchłonęła brzeg wschodni, nie widziałem innych pontonów, nawet wtedy, gdy zapalały się nowe niemieckie rakiety. Na zachodnim brzegu natomiast widziałem wyraźnie wybrzuszony kształt zatopionego statku a za nim, pod łuną zalewającą miasto, ruchliwe światła, blaski, morze ogników: miasto płonęło i jego pożar widziany z dołu, z powierzchni rzeki, wyglądał całkiem inaczej niż z naszego brzegu.

Niemcy wciąż milczeli. Już nabierałem nadziei, że oznacza to, iż Jerykałow pomyślił się i źle przewidział. Może i dzisiaj zaskoczy ich nasza przeprawa? Już zaczynałem się cieszyć, zaświtała mi nawet myśl, że mamy szczęście, byliśmy przecież już bliżej tamtego brzegu.

Nagle, wysoko nad rzeką, biały blask, i zaraz drugi, i jeszcze, i jeszcze: to niemiecka artyleria zawieszala nad nami pociski oświetlające. Jednocześnie z zachodniego brzegu nadleciały różańce kolorowych świateł, uderzyły w wodę przed nami, obok, z tyłu. Ciężki cios wzburzył wodę, rzuciło pontonem, w oślepiającym blasku zerwał się gejzer kipiący i przeobraził w iluminowany. Biło w nas coraz więcej cekaemów, ktoś całkiem blisko zwierzęco zaskowywał i zaraz ucieli. Znowu spadły na nas wybuchy, ponton pełen był wody, wiosłowacze, chłopaki, wiosłowacze — wrzeszczałem, a po każdym bliskim wybuchu odruchowo padaliśmy na dna łodzi. Przestrzeń wciąż była nierozpoznawalna, jak płynęliśmy: powoli czy szybko? Woda pieniała się i rwiała ku górze. Cekaemy szły nad naszymi głowami kolorową sieć, byliśmy w nią złowieni, woda strzelała bryzgami. Dym. Mgły. Błyski. Krzyki tonących. Smród błota i trotylu. Naraz znaleźliśmy się poza zasięgiem ciężkich pocisków: rwały się teraz za nami.



— Gruntujemy! — krzyknął ktoś i bez namysłu zsunąłem się w wodę, była mi po pierś.

— Do wody, chłopaki — krzyknąłem. Pociągnęliśmy ponton za sobą, w coraz płytszej wodzie biegliśmy ku brzegowi, w stronę, skąd bili w nas cekaemy, ogień ich jeszcze się nasilał, nisko nad wodą tysiące białych i kolorowych smug przekreślało noc. Trasy pocisków zdawały się nakłuwać niebo, schyłony, zrozumiałem, że już górują, że już nie są groźne. Ze jednak dotarliśmy.

Wyciągnęliśmy nasz ponton na piasek, z sykiem wypuszczała powietrze któraś z komór.

— Są wszyscy?

Miotnęło pod niebo ogniem. Padłem w mokry piach, miałem go pełne usta, wybuchy błądziły po płaskim brzegu, namacały nas niemieckie moździerze, byli dobrze wstrzelani i teraz nakryli nas ogniem, znowu zawisły tuż nad głowami seledynowe rakiety, wszystko ożyło, każdy przedmiot rzucał wiele ruchliwych, szybkich cieni. W tym trupim świetle ujrzałem przed nami skarpe. Za mną, chłopcy, zawolałem — i pociągnęliśmy po piachu nasz ponton.

Dopiero leżąc w ukryciu, gdy poczułem się bezpieczny, po raz pierwszy pomyślałem o reszcie plutonu, o Jerykałowie, o batalionie, o następnych rzutach przeprawy. Pod skarpe, w mokrym wykopie, szybko podchodzącym wodą, zliczyłem mych ludzi: było tylko czterem. Stogrom z wspaniałą, niemożliwą do zatopienia łodzią-tratwą, nie dopłynął. Z nim poszła na dno większa część sprzętu. Ocalała tylko jedna radiostacja ta pod opieką Sianki, ale zamokła i umilkła na amen.

Blask i ciemność na przemian znowu oślepiły mnie zupełnie. Ktoś przypadł do nasypu, tuż obok.

— Żyw, zdrow? — usłyszałem znajomy głos.

— Stogrom utonął.

— Znaju. Popali w jego łodku z minomiotu.

— Co dalej?

— Uwidim — powiedział spokojnie Jerykałow. — Zakurit u ciebie jest?

Przyniosło mi to ulgę, potrzeba mi było bliskości kogoś nawykłego do boju, udzielił mi się spokój Jerykałowa, ufałem mu, był doświadczony. Odpowiedziałem prawie wesoło:

— Zabili czo ja niekuraszczyj?

By się rozgrzać, pociągnęliśmy z manierki. A potem aż do świtu skrzykiwaliliśmy ludzi, dowódca batalionu, wąsaty kapitan ranny w rękę, sprawdzał straty, kłat, wymyślał i sygnalizował na tamten brzeg o naszym pomyślnym tu przybyciu. Straty uznał — jak na taką przeprawę — za niewielkie.

Do rana czekaliśmy na dalsze fale przeprawy, na kolejne bataliony, ale Niemiec bił w rzekę z taką furją, że czekaliśmy na próżno. Raz i drugi wydawało się nam, że przez tę kipiącą ogniem topiel przedzierają się jakieś cienie, ale w następnym ogniowym nalocie wszystko nikt: a może to było tylko złudzenie?

— Znaczyt' na siewodnia wsio — powiedział wreszcie Jerykałow. — Chierowo podgotowali etu forsiruwku...

W ciągu tej krótkiej nocy nawiązaliśmy łączność z naszymi poprzednikami: ponieśli ciężkie straty, ale uparcie trzymali uzgodniony z powstańcami odcinek. Za naszą skarpe zjawiało się wkrótce i trzech warszawiaków: byli w niemieckich hełmach, cywilnych ubraniach, automaty mieli zdobyczne, ale granaty ruskie. Naradzali się długo z dowódcą batalionu i był z nimi Jerykałow. Wrócił zły.

— Chęć ognia — powiedział — a my, zamiast prowadzić ogień, powojujemy tu jak piechota.

Istotnie, na najkrótszej w mym życiu odprawie, wyznaczono i nam odcinek

obrony. Moich czternastu chłopców (— Poruczniku, co to, zostawia nas tu samych? — pytali, a ja milczałem —) i Jerykałow zostaliśmy załogą wielkiego rumowiska, niegdyś chyba fabryczki.

O świcie, zaryci w tym rumowisku, odbiliśmy gwałtowne ataki Niemców i nie wydały mi się one straszne po tym, cośmy przeżyli na rzecę. Potem przez godzinę bili w nas moździerze, i to było gorsze niż nawała artyleryjska. Ale jeszcze nie wiedziałem, co nas tu czeka, tego ranka jeszcze bawiłem się w wojnę! Gdy wszystko ucichło doliczyliśmy się z Jerykałowem strat: jeszcze czterech ludzi, trzech mieliśmy rannych, z amunicją nie było najlepiej. Ale jeszcze wierzyłem, że to do wieczora, a potem nowe fale batalionów — i marsz naprzód.

Około południa nadleciały zza rzeki salwy studwudzestodwojek. Żeby tylko nie po swoich — pomyślałem. — Jak oni strzelają bez obserwacji?

Wybuchy kładły się w głębi zabudowań, dalej od rzeki. Niemcy przycichli i wtedy dwóch moich na ochotnika skoczyło w martwe pole przed nami, po broń tych Niemców co doszli w atakach najbliżej.

— Na nas nie leżą Niemcy — powiedział potem jeden ze śmiazków, układając na przedpiersiu zdobyczne szmajsery. — Na nas leżą Kalmuki. Kiedy ruszą nas zza rzeki?

Pod wieczór, w kolejnym ataku tamtych, zerwała się linia obrony i z lewej flanki bił w nas ogień ostrzejszy niż z przodu. Nie mieliśmy sił, by kontratakować, zaciskałem zęby i myślałem, że w nocy, że w nocy... Gdy Niemcy podeszli bardzo blisko, zarzuciliśmy ich granatami, oni odpłacili nam tym samym, miałem pokaleczoną twarz ostrymi odłamkami cegły, nie widziałem na jedno oko, w pewnej chwili zrozumiałem, że to już koniec, jak to, nawojowałem się tylko pół dnia? Dym, gęsty dławiający smród wybuchów i grad pokruszonej cegły, zmiażdżonego cementu, rzuciłem ostatni granat i — nagle od strony najbardziej niebezpiecznej ktoś zaczął nawoływać po polsku — pomyślałem, że to podstęp. Ale to byli ludzie z tego batalionu, który się przeprowadził dzień wcześniej, a z nimi powstańcy.

Zapadł zmierzch, Jerykałow poszedł do dowódcy i wrócił po dziesięciu minutach. — Do dupy z taką łącznością — powiedział — jak byśmy nie mieli jej przez tutejszych, byłoby już po wszy stkim.

— Nasi w nocy przypłyną? — Czort znaje! — powiedział beznadziejnie Jerykałow. Od zmierzchu nad Wisłą wisiały fary, moździerze wstrzeliwały się w pustą rzekę. — Czort znaje! — powtórzył i zrozumiałem, że czeka nas tu dalsza samotność.

(Fragment powieści)

JERZY JARMOŁOWSKI

tutaj poręba biało i kulawo

tutaj poręba białe i kulawo
i późną nocą w niebie się czerwieni
bywa że ręce wyrastają z ziemi
więc chwycą w kostce i stłuczesz kolano

już jarzębina jęcza się rumieni
bo w pniu swym nosi dwa smolne polana
co grzeszą wiedzy gdy drętwieją z rana
kiedy pod nimi trawa się popieli

i tak mnie wodziśz po lasach kalekich
gdzie skrzeczą ptaki czarciego pomiotu
smół powłóczyśz za sobą przez wieki

a jak cię będą palili na stosach
rzuć w nich kolczyki z jedynych kiści potu
wtedy gałęzie zakwitną we włosach

nasze są sprawy co je wiatr rozsiewa

nasze są sprawy co je wiatr rozsiewa
ziele pulsuje soczyste przedwcześnie
pokrzywy grzbiety rude prężą we śnie
— choć na wsi mówią że to wróżba zła

bowiem starucha co wila boleści
z marszczonej piersi mlekiem je zakłęta
i z tego teraz umie ono śpiewać
w otwartych żyłach ludzi co są w mieście

sierpniem nieszczęście będzie przy kościele
zechcecie świecić i podzwonne dzwonić
a nie pozwolę bo to moje ziele

niech sobie chyłkiem wśród kwiatów naręczy
kudłacz zakopci z łopucha tytoniu
i puszcza kółka za staniki dziewczyn

ANTOLOGIA znaczy „ZBIÓR KWIATÓW”

Lesław Eustachiewicz ogłosił dwutomową „Antologię literatury powszechnej”, przeznaczoną dla studentów filologii polskiej studium na uczucielskiego. Od razu rodzi się pytanie: dlaczego tylko dla słuchaczy studium nauczycielskiego, dlaczego również nie dla studentów pozostałych uczelni? Jakaż jest specyfika tej antologii, że nadaje się ona w szczególności dla jednego, a nie poleca się jej innym? Niestety Lesław Eustachiewicz nie opatrzył swej antologii żadnym wstępem i nie wiemy, czym się kierował, wybierając tych a nie innych autorów, te a nie inne teksty do publikacji. Antologię otwiera Homer a kończy Fryderyk Dürrenmatt, mamy więc jakby przekrój literatury od czasów starożytnych aż do najnowszych. Antologia zawiera fotografię każdego prezentowanego pisarza (nawiasem mówiąc zamiast podobizny Karola Czapka dało podobiznę kogoś zupełnie innego), krótką notę o nim oraz fragment z jego najgłośniejszego dzieła.

Ale tu właśnie wkraczamy od razu w krainę wątpliwości. Na przykład: z Gogola wybrał autor antologii jego jednoaktówkę „W przedśionku teatralnym” po premierze nowej komedii, która jest wprawdzie materiałem interesującym, lecz zupełnie nie tłumaczy się w tak pomyślanym przeglądzie najcenniejszych arcydzieł literatury światowej. Jeżeli potraktować tę antologię jako rodzaj podręcznika, który ma się stać pod ręką, do którego w każdej chwili można sięgnąć, by zacytować ulubiony fragment głośnego utworu, to redaktor nie powinien był pominąć „Hamleta” Szekspira, a z Beaumarchais, zamiast „Cyrylika sewilskiego”, należało wziąć raczej „Wesele Figara”. Zarzuty tego rodzaju można by mnożyć. W niejednym przypadku człowiek zastanawia się, zdumiony, jakie kryteria stosował antologista w swoim wyborze.

Antologia jest słowem pochodzenia greckiego i znaczy „zbiór kwiatów”. Dziś powiedzieliśmy: bukiet złożony z najpiękniejszych kwiatów. Oczywiście Lesław Eustachiewicz zgromadził wiele piękności i w przeważającej mierze goździków się na jego wybór. Tym dziwniejsze wydają się te pozycje, które budzą wątpliwości i o które chcielibyśmy się z nim pospieszyć. Nie mogę mu, zwłaszcza, dać rady, że nie wziął nic z „Martwych dusz” czy choćby z „Rewizora” Gogola, że pominął najpiękniejszy (i bardzo ważny) wiersz Fryderyka Schillera „Na nowe stulecie” w przekładzie Michała Jastruna, że przy Puszkynie mógłby zrezygnować z „Biesów”, czy „Prokusa” na rzecz wybranego fragmentu z „Eugeniusza Onieгина”, którego nieuwzględnienie w takiej antologii wydaje się po prostu niezrozumiałe.

Po tylu pretensjach (a znalazłoby się ich więcej) trzeba również pochwalić autora antologii. Uczynił to tym chętniej, że jest za co. Otóż o ile przy wyborze tekstów klasyków antologista powinien był pójść za ustaloną przez historię literatury opinią, o tyle dobrane przez niego, „ignorując” głośnie dzieła autorów współczesnych. Albowiem wcale jeszcze nie wiadomo, czy to co budzi podziw i uznanie dziś, stanie się dla czytelników jutrzejszych. Eustachiewicz nie bał się założyć tym razem własnego smaku i wybrał fragmenty utworów mniej mo- że głośnie, ale za to bardziej komunikatywnych i wzruszających. Najwyraźniej widać to przy tekście Faulknera. Decydując się na wydrukowanie opowiadania „Dwaj żołnierze”, Eustachiewicz trafił w samo sedno. Jest to jedno z najpiękniejszych opowiadań, któremu wrócić długo i trwała kariera czytelnicza. Z czasem poznają się na tym utworze również krytycy, którzy, jak wiadomo, dochodzą dość późno

do prawd słusznych i oczywistych. Mam przyjaciela, który twierdzi, że Faulkner jest największym pisarzem wszech czasów. Nie podzielam jego zdania, choć twierdząc o Faulknerze stawiam wysoko. Inni też sądzą podobnie, na dowód czego pozwolę sobie przytoczyć opinię J. B. Priestleya (z książki „Literature and Western Man”): „Henri Bernstein, francuski pisarz teatralny, powiedział kiedyś, że Hollywood tryska geniuszem, brak mu jednak talentu. To samo można powiedzieć o Faulknerze. Gdy jego wielbiciele mówią nam, że jest on geniuszem, jedynym prawdziwym geniuszem w literaturze współczesnej Ameryki, to mają oni niewątpliwie rację. Ale nie dodają, naturalnie, że brak mu talentu. Faulkner jest genialny, ponieważ potrafi, jak niewielu tylko pisarzy, przezwyciężyć barierę dzielącą świadomość od podświadomości i wskutek tego wtopić w swoje dzieło to co podświadome, jak gdyby opowiadał nam jakiś nie zwykły sen. Ponieważ w powieściach Faulknera świat zewnętrzny przemierzany został ze światem wewnętrznym, utwory jego mają taką siłę i są tak zagmatwane. Pozostajemy pod ich wrażeniem, ale i czujemy się zagubieni, gdyż nie wiemy, czy ofiarowujemy nam się Missisipi czy mitologię. Talent, który — oprócz geniuszu — posiadają wielcy pisarze, wnosiłby w ten chaos ład i porządek. Styl Faulknera, posiadający wielobarwną pełnię geniuszu i rozlewający się w niepołączonym gadulstwie, zyskałby ogromnie, gdyby istniał talent, który by styl ten chaos ład porządkował”.

Przepraszam za przydługą cytację, ale jest on dość smakowity, aby go sobie darować. A teraz wracam znowu do antologii Eustachiewicza. Mam w niej fragment z nieopublikowanego jeszcze po polsku „Uliksesa” Joyce’a, nad którego tłumaczeniem Maciej Słomczyński pracuje bodaj od lat kilkunastu. Póki co, można przynajmniej poprosować, czym ten „Ulikses” pachnie. Więc choć ponarzekalem na początku, w sumie uważam „Antologię literatury powszechnej” za wydawnictwo pożyteczne. Nie mieliśmy i nie mamy książek tego rodzaju w nadmiarze.

Lesław Eustachiewicz „Antologia literatury powszechnej”, 2 tomy, str. 956, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Warszawa 1968.



Scena zbiorowa

Fot. A. Brustman

ROMAN ŁOBODA

TKACZE w Teatrze Nowym

Nieubłagane obchodzą się z czasem nie tylko z nami, lecz z wszystkim, co jest wytworem myślenia i działania; szczególnie bezkompromisowo weryfikuje, klasyfikuje i dyskredytuje sztukę.

Tym trwistycznym wstępem pragnę zastąpić również sakramentalne zagajenie, w którym na ogół rację wystawienia niewspółczesnego dramatu uzasadnia się albo tym, że ostatek się w czasie albo, że nie ostatek.

(Nie ostatek, to znaczy, że stał się dokumentem czasu).

Ale każda z tych uzasadnień racji musi pocieszać za sobą konsekwencje natury artystycznej.

Wystawienie „TKACZY” Gerharta Hauptmanna to niewątpliwie przedsięwzięcie odważne, bowiem siła tego utworu polega prawie wyłącznie na jego ideowości i żarliwym, humanistycznym stosunku do aktualnych wydarzeń, które autor relacjonował w udrammatyzowanym, sposób.

Bunt tkaczy dolnośląskich w połowie XIX w. był nie tylko aktem rozpaczliwej walki o przetrwanie, a pograżonych w beznadziejnej nędzy ludzi, był również objawem budzącej się świadomości mas pracujących we współczesnym tego słowa znaczeniu.

„TKACZE” to niezwykle cenny i autentyczny dokument współczesnych Hauptmannowi przemian — ich rewolucyjnych założeń.

Być dzieckiem i odbiciem swoich czasów sztuka rezonowała szeroko, a odbiór jej przez widownię zawsze był gorąco emocjonalny.

Wydaje się jednak, że w perspektywie czasu, że nie utwór był źródłem wysokiej temperatury na spektaklach, on tylko ją wyzwał z nastrojów i uczuć widowni, a także artystów.

Dziś tego typu utwory przejęte dobrą intencją, szlachetnymi uczuciami i faktami odległych czasów, a zbyt słabo nasycone artystyczną siłą argumentacji, jeżeli nie korespondują z aktualnymi problemami nie mogą być katalizatorem nastrojów, zapłonem emocji, inspiratorem nowych refleksji czy porównań. Doraźność takich utworów skazuje je na weznie historyczności.

To są względy, dla których wystawienie „TKACZY” jest aktem odwagi i nastroja wiele trudności.

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że dziś próby wytworzenia wysokiej tem-

peratury na „TKACZACH” byłoby równie bezowocne, jak próby wytworzenia rewolucyjnych nastrojów tą sztuką. „TKACZE” to utwór, który stał się dokumentem czasu, obrazem czasu.

Trudność inscenizacji polega dziś na tym, że w „malowaniu” tego obrazu przeszkadza retoryka, werbalna motywacja, rozwickle dialogi i monologi. Z tym wszystkim trzeba się jakoś uporać. Borykają się z tym reżyserzy łódzkiego spektaklu Janusz Kłosiński i Wojciech Piłarski ze zmiennym szczęściem.

Wydaje się, że śmielsze pójście w kierunku usymbolizowania obrazu, precyzyjniejsze wkomponowanie scen zbiorowych, ruchu i gestu w trafną, oszczędną, ale szeroką i sugestywną scenografię Henri Poulaina, dodałoby całości głębszej wymowy i nie przesadzonej monumentalności.

Inszenizacja zmierza w tym kierunku głównie dzięki pomysłowym zabiegom i efektywnym transpozycjom; takim jak operowanie światłem, poziomami scen, włączaniem monologów, muzyką itp. Omija się w ten sposób mielizny, nadając sztuce charakter i rozległość zbliżoną do eposu.

Wydaje się, że warto było nad tym popracować, by w łódzkiej inscenizacji przypomniać niedole i heroizm tkaczy — by dać świadectwo historii.

W tak rozumianej koncepcji sztuki, plastyczne walory gry aktorskiej muszą wybijać się przed elementy werbalne. I tak potraktowali swoje role aktorzy, którzy kreowali, że tak powiem, główne symbole w historycznym obrazie.

Wojciech Piłarski w roli Wittiga — kowala, Ludwik Renoit jako stary Hilse, Bolesław Nowak (stary Ansorge), Ewa Zdzieszńska w ro-

li Luizy — żony Gotlieba, Janina Jabłonska (matka Hilse), Eugeniusz Korczakowski (Bäcker), Wanda Jakubińska (stara Baumertowa). Również, ale z pewnym „przechyłem” w stronę charakterystyczności:

Eugeniusz Kamiński w roli Moritza Jägera, Stanisław Łapiński jako stary Baumert, Franciszek Trzeciak (August Baumert), Elżbieta Starostecka (Emma Baumert).

Kontrastowe postacie — czarne plamy na obrazie — symbole zła, to:

Zygmunt Malawski jako Dreissiger — fabrykant barachanu, Bohdan Mikuć w roli Pfeifera — ekspedienta, Bogusław Mach w podwójnej roli Neumanna kasjera i woźnicy Johanna.

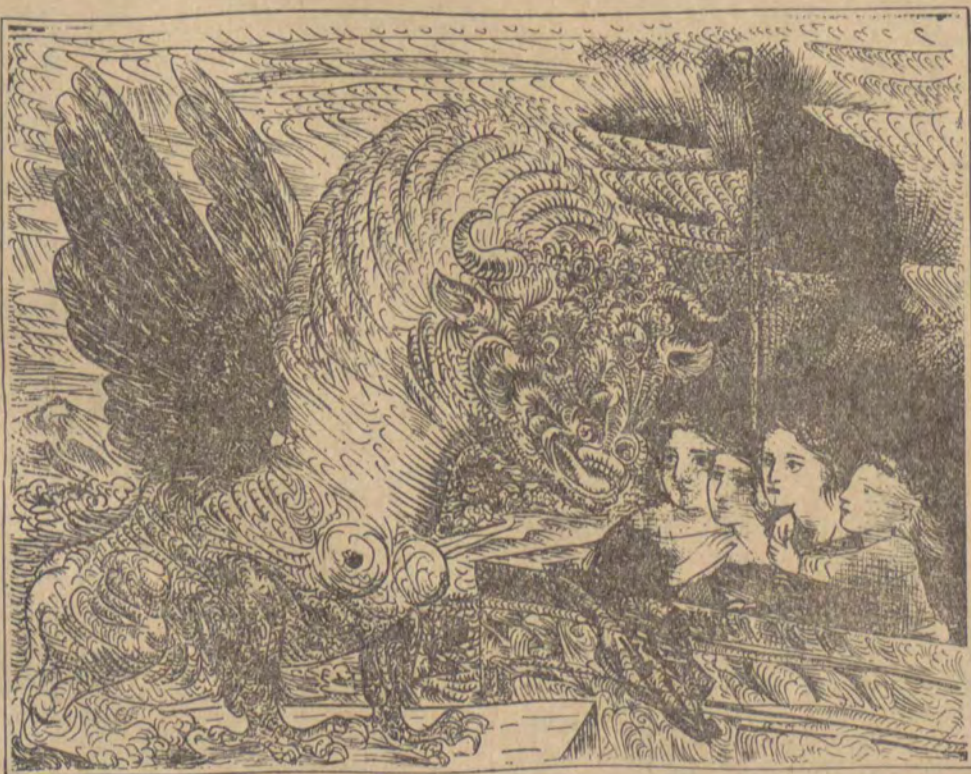
Zdecydowanie charakterystyczne postacie miały zapewne, w zamiarze autora, zła godziła ostrze kontrastów i stworzyć pozór psychologicznego traktowania osób dramatu.

Ale oklepiana oryginalność tych typów nie uwierzytelnia psychologicznej całości, a sama w sobie stanowi miejscami przerywnik niekiedy przydługi, ale miły dzięki wykonawcom:

Zygmunt Zintel (Hornig — galganiarz), Ryszard Dembiński (chłop), Dobrosław Mater (Schmidt — chirurg), Jan Zdrojewski (komiwojażer).

Ponad 37-osobowa obsada „TKACZY” nie poddaje się jakiejś szczegółowej analizie gry indywidualnej, nie tylko ze względów technicznych, lecz również — o czym była już mowa — merytorycznych.

„TKACZE”. Gerhart Hauptmann, przekład: Wilhelm Szewczyk. Reżyseria: Janusz Kłosiński. Scenografia: Henri Poulain. Teatr Nowy w Łodzi.



Rys. P. Picasso

spektakle tygodnia

		spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI	„Książę Igor”	1	1276	100
	„Zemsta nietoperza”	2	2552	100
	„Straszny dwór”	1	1276	100
	„Dama pikowa”	1	1276	100
	„Pan Twardowski”	1	1276	100
NOWY	„Trzy białe strzały”	2	1001	75
	„Damy i huzary”	3	1500	75
	„TKACZE”	3	1500	75
MAŁA SALA	„Szklana menażeria”	2	350	80
	„Skizy”	4	600	75
POWSZECHNY	„Święta Joanna”	1	660	100
	„Radziwiłł, Panie Kochanku”	3	1980	100
JARACZA	„Nie zapomnisz owych dni”	5	3150	100
	„Zielony gil”	3	1260	100
OPERETKA	„Dziękuję ci, Ewo”	2	2212	99
FILHARMONIA	koncerty symfoniczne	2	sluch. 950	99

GŁOS

przeciwko westernowi

Western starzeje się, ma już przeszło 56 lat. Edwin S. Porter zrealizował swój „Napał na ekspres” w 1903 roku. Film ten, prócz skatalogowanych w podręcznikach historii walorów formalnych, posiadał jeszcze jedną wartość — zdołał wytworzyć nową, nieznana dotychczas w kinoteatrze atmosferę. Publiczność znalazła tu przyrodę, saloon, ludzi wyjętych spod prawa, konie i colty. Był to zbiór elementów, które ułożone w długą jakiegóż anegdoty tworzyły western i stanowiły o jego istocie jako gatunku.

Jest więc western czymś w rodzaju starofrancuskiej pieśni rycerskiej, takich jak „Pieśń o Rolandzie”; przedstawieniem przeszłości a jednocześnie jej gloryfikacją, pieśnią o męstwie i prawości. Widzowie ulegają w ten sposób automatyzacji, film nie rozszerza ich wyobrażenia o świat, lecz tylko je potwierdza. Postacie filmu stają się herosami. Cowboy, współczesny błędny rycerz, walczy z przeciwnościami ponad ludzką miarę i zwyczaj. Bo nigdy nie zwątpi w samego siebie i słusność tego, co reprezentuje. Zli ludzie, o białej lub czerwonej skórze, muszą się przed nim ukorzyć, ponieważ równie sprawnie odróżnia dobro od zła jak i władza bronia. Powstaje w ten sposób ko-dek, idealnego punktu odniesienia. Dydaktyzm westernu jest pozorny, widz utożsamia się z bohaterem, lecz tylko na dwie godziny, zdając sobie sprawę, że to je-

dynie gra, że po wyjściu z kina będzie nie dawał towar w sklepie, dopisywał datę do rachunku w restauracji, itd. Prawy i szlachetny czuje się tylko w kinie, za to w sposób tak intensywny, że wystarczy mu na cały tydzień. Western spełnia więc określoną funkcję społeczną, ofiarowuje moralność w piętkach. Dochodzi nieraz do paradoksu: niektórzy bohaterowie zyskiwali sympatię publiczności nawet wtedy, gdy bez żadnego powodu zdarzało im się wyrzucić całe plemię Indian. Działo się tak z racji moralnego kredytu jaki posiadali u publiczności.

Western stworzył cały szereg stereotypowych postaci, między innymi typ czerwono-skórego. Jest on dobry, albo zły, ale zawsze głupi. W najlepszym wypadku to półinteligent podporządkowujący się woli szlachetnego cowboya, co pozwala nauczyć się żyć w sposób „cywilizowany”, przy czym rozumienie cywilizacji jest tu specyficznie amerykańskie. Ameryka jest krajem o wysoko rozwiniętej technice, ale jednocześnie krajem, który od prymitywizmu doszedł od razu do dekadencji bez przejścia przez, te fazy pośrednie, które wspomnieniem żyje jeszcze kultura europejska.

W roku 1837, po wojnie, z której Meksyk wyszedł jako ofiara rodzającego się, ale już silnego imperializmu, Stany Zjednoczone wykorzystują

sytuację: chaos po walce o niepodległość w latach 1810—23, konflikty wewnętrzne zagarnęły trzecią część terytorium meksykańskiego, na którym mieszkowało trzysta tysięcy Meksykanów zmuszonych znieść od tej pory dyskryminację rasową i ekonomiczną: jako niższa porządkowana warstwa w społeczeństwie amerykańskim. Wielu z nich ma jeszcze nadzieję, że terytorium to wróci do Meksyku. Inni przystosowali się umysłowo i ekonomicznie do „nowego życia”. Te fakty historyczne i geograficzne nie mogły zostać przemilczane przez western. Powstał w ten sposób jeszcze jeden stereotyp postaci westernu: Meksykanin.

Zazwyczaj jest on gruby, o tłustej cerze, dziwnym kolorze skóry, między czerwonym, a żółtym włosy ma potargane, długie i przetłuszczone. Raczaj mały albo krzywonogi, zawsze z jakąś blizną. Zęby nierówne i, jak on cały, brudne. Jego ubiór to mieszanka stroju ludowego z kowbojskim, plus wielkie sombrero. Zdobią go na ogół cienie, długie wąsy, i rzadka broda. Kobiety meksykańskie najczęściej występują w postaci „latin prostytut”. Idiolek, ale z „temperamentem”. „Mexicano” w westernie to postać pozbawiona rysunku psychologicznego i charakteru. W żadnej sytuacji nie potrafi myśleć i postępować samodzielnie. Jego moralność w najlepszym przypadku jest imitacją moralności Amerykanina. Meksykanin jest zawsze na usługach supermana; Gary Cooper, Clark Gable, na usługach w każdym tego słowa znaczeniu. Na początku „wielkiej przygody” westernowy bohater zabiera go ze sobą tak jak bierze się konia. Nigdy nie wiadomo jak się poznali, zawsze jednak Meksykanin kocha i podziwia białego bohatera prawie tak jak Boga. Naturalnie pomaga mu we wszystkim nawet kosztem własnego życia. Ta pomoc obejmuje zarówno zdej-mowanie butów, jak i zamordowanie kilku ludzi. Jest na tyle pozbawiony godności, że służy nawet jako rajfur. Wszystkie „prace” wykonuje

nie myśląc dla kogo i po co. Wystarczy że działa stosownie do woli swego pana. Jeżeli pan ten jest złodziejem, on też kradnie, jeżeli mordercą, morduje i on. W żadnym z westernów Meksykanin nie przedstawił własnego punktu widzenia własnych przekonań, nigdy nie zbuntował się przeciwko swemu białemu „bogowi”. Meksykanin nie posiada wcale świadomości, że jest wykorzystywany i ponizany na swej ojczystej ziemi. Jedynie w filmie „One Jack”, postać grana przez Catv Jurada — aktorkę meksykańską — kompromituje swego protektora. Poza tym jedynym wciatkim Meksykanin jest zawsze konformista bez ideałów i akceptuje swą niższość w stosunku do wielkiego, panierowego bohatera westernu. Wydarzenia historyczne fałszowane są przez wszystkich realizatorów poczynając od Griffitha w „Martyrs of Alamo” aż do typowego przykładu do hipokryzji hollywoodzkiej — „Rio Conchos”, w którym Antonio Frattosa gra Meksykanina — zdrajcę, kłamcę, pijaka, głupca, cynika, a nawet rasistę ale sympatycznego. W tym filmie Meksykanin wysługuje się zarówno Amerykanom, jak i czerwonoskórnym. Wygląda na to, że granica między USA, a Meksykiem to granica między sprawiedliwością, a bezprawiem. Meksyk w rozumieniu westernu to kraj „rodziciel bandytów, deprawacji, gdzie sprawiedliwość lub choćby jej pozór nie istnieje. Najciekawszy zaś z tego wszystkiego jest fakt, że przedtem obywatel starej Europy szedł z Meksykiem wygładała właśnie w ten sposób. Wyobraź sobie w sombrero, z pistoletem, mordujących... Świadczy to o wielkiej podatności świadomości zbiorowej na oddziaływanie amerykańskiej kultury masowej a jednocześnie o trwałości wytworzonych przez nią wzorców. Trzeba zdać sobie sprawę, że american way of life to również określony sposób myślenia, który bezkrytycznie przejmujemy razem z udogodnieniami technicznymi. Tym razem Ameryka do konuje podboju Europy.

RAUL ZERMENO

PP OBIEKTYW

„KOBRA”

Słowo „Kobra” nie wymaga wyjaśnienia. Od mniej więcej dziesięciu lat stała się jednym z najbardziej popularnych programów telewizyjnych. Jest na ustach wszystkich. Weszła jako nowe pojęcie do języka potocznego. Jej mianem określa się wszelkie kryminalne sprawy.

Jeżeli chciałoby się dojść do przyczyn tego sukcesu, to są one chyba szerszej, społecznej natury. Powiedzmy sobie bowiem szczerze, że jako tako wymagający widz najczęściej jest po obejrzeniu „Kobry” rozczarowany. Co nie przeszkadza mu zasiać następny czwartek znowu przed telewizorem i patrzeć z zadowoleniem na wijące się po ekranie jadłowitego okularknika, zapowiadającego nową porcję kryminalnych sensacji.

A więc psiochymy na konkretnie pozycje „Kobry”, akceptujemy ją jako nie kończącą się cykl programowy. Doceniamy jego potrzebę, narzekając na niewypały i sytki, których ilość znacznie przekracza miarę udanych pozycji. Jak więc to właściwie jest? Co nas skłania do darzenia „Kobry” sympatią?

Sam sobie stawiałem tyle pytań i będę teraz musiał więc się niemal jak kobra na ekranie, żeby znaleźć jakąś sensowną odpowiedź. Bo przecież wkraczamy tu w dziedzinę psychologii, i to zarazem tej indywidualnej jak i społecznej. W każdym człowieku drzemie nie zaspokojony głód silnych wrażeń. Przeważająca większość z nas wie, że życie jest niestabilizowane, spokojne, nieco jednostajne. Nic dziwnego, że rekompensaty chcieliby się szukać w literaturze, w kinie, w telewizji.

Jeżeli więc od czasów Conan Doyle'a literatura kryminalna bije wszystkie rekordy powodzenia, jeżeli Sherlock Holmes, Nat Pinkerton i komisarz Maigret zyskali rangę ludowych bohaterów, to dzieje się to właśnie dlatego, że dzięki tym książkom i tym bohaterom możemy przeżywać mocne chwile, nie narażając się na niebezpieczeństwo i nie ruszając się z wygodnego fotela.

Dziwne więc byłoby, gdybyśmy od telewizji, tego najpotężniejszego przekazywacza rozrywki, nie oczekiwali, by dostarczała nam także sensacji i kryminalnych zagadek. Stąd powodzenie awanturniczych seriali filmowych typu „Baron” czy „Święty” — stąd popularność naszej rodzimej „Kobry”.

Skoro więc nasza Telewizja od lat stara się zaspokoić nasz głód sensacji, skoro w żmudnym trudzie szuka wciąż nowych scenariuszy,

to już sam ten wysiłek wzbudza sympatię i wdzięczność. Te uczucia górują niezaprzeczalnie nad kilkukrotnymi wspomnianymi już przez mnie niezadowolonymi z niedoskonałości poszczególnych pozycji teatru sensacyjno-kryminalnego naszej TV.

Istnieje kilka przyczyn podstawowych, dla których spektakle „Kobry” budzą najczęściej zastrzeżenia. Przede wszystkim utarła się w środowisku teatralnym opinia, że spektakle te są produkowane na zasadzie sprzężenia zwrotnego, które ciągnie popularne widowiska w dół, zamiast je dźwigać na wyższy poziom. Jeżeli bowiem aktorzy nie znają na ogół dobrze tekstu, jeżeli scenografowie projektują banalne dekoracje, jeżeli w dodatku dekoracje te wykonuje się tandetnie, byle jak, to trudno liczyć na powodzenie najłepszego nawet scenariusza.

Skoro jednak odwrotnie aktorzy mają wypowiadać kłopsko napisany tekst, jeżeli postaci, które odtwarzają, są płaskie i psychologicznie nie umotywowane, a labirynt kryminalny nawiązany w pomysły, to nie dziwny jest z kolei, że nikt się nie należy do wysiłku, a całość wypadła w sposób niktogo nie zadowalający.

Powieści kryminalne bywają liche, ale ich lektura nie sprawia tej przykrości, co oglądanie złego spektaklu kryminalnego w telewizji. Wielokrotnie już wskazywałem na sugestywność obrazu TV, która bezlitośnie obnaża wszelką tandetę, wszelki fałsz artystyczny.

Dlatego nie cofając naszej sympatii dla jadłowitego gada, nie możemy być ślepi na jego nie najlepszą markę wybrki. Domagajmy się od redaktorów, autorów, reżyserów, scenografów i aktorów towaru najlepszej jakości.

A może ja jestem zbyt wymagający? Może nie jest tak źle z „Kobry”? Może. Chacun a son gout — jak śpiewa w „Zemście Nietoperza” książka Orlovskij...

Ładysław Orlovskij

A może bysmy tak do KINA

Problem wyboru właściwej drogi życiowej należy do podstawowych zagadnień współczesności. Film włoskiego reżysera Antonio Pietrangeli („Rogacz wspaniały”, „Oferta matrymonialna”) — „ZNALEM JĄ DOBRZE” przynosi jedną z możliwych odpowiedzi na pytanie — jaką karierę zrobić może piękna dziewczyna w kapitalistycznym kraju. Jest to opowieść o Kopciuszku epoki kina i czaru czterech kółek, przeznaczona dla dzieci kultury masowej.

Całość wzruszająca i elegancka.

W kraju socjalistycznym natomiast, kariere znacznie łatwiej robią mężczyźni (oto problem socjologiczny godzien rozważań samego Zygmunta Katużyńskiego) co w sposób nader przekonujący ukazuje jugosłowiański film „PROTEGOWANY” reżysera Vladana Sljepcevicza. Stary schemat fabularny wypełniony został nowymi i jakże pouczającymi treściami. Polecamy „Protegowanego” starcom i młodzieży, jako że każdy znajdzie tu coś dla siebie, zwłaszcza w dobie walki pokoleń. Mimo niedostatków realizacji, jest to film z serii zmuszających do myślenia.

POLETKO
TELE-
OBIEKTYWU

nr 13

OBIECUJĄCY TYTUŁ. Nadana w dniu 14 marca „Kobra” nosiła obiecujący tytuł „Kto zabił śmierć”. Ale kto dziś wierzy w obietnice? Tylko naiwni. Tylko naiwnym mógł się również spodobać scenariusz Z. Zeydler-Zborowskiego, zwłaszcza próbka tego jak sobie autor wyobraża gwara góralską. Taniutki schemat nagromadzenia motywów zbrodni, niewygrany pomysł z jasełkowymi przebierańcami (który posłużył tylko do skomponowania owego obiecującego tytułu widowiska), nieciekawo przebieg śledztwa i nielogiczne rozwiązania — oto passywa tej jeszcze jednej „Kobry” przyprowadzającej widzów o rozczarowanie.

— * —

Czytelnicy współredaktorami PTO! Pisze do PTO!

W. O.

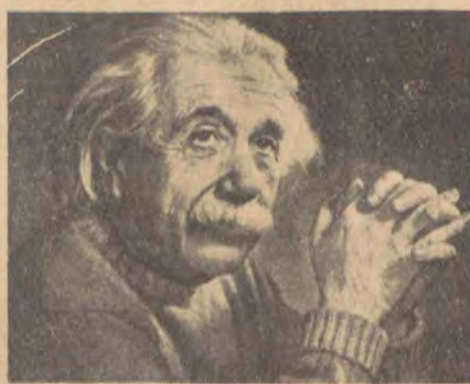


Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

ZDJĘCIA YOUSUFA KARSHA



Einstein (1948 r.)



Marcel Marceau — aktor pantomimy



John F. Kennedy w r. 1960

KARSH Z OTTAWY

□ Niedawno w Ameryce i w Anglii ukazał się album pt. „Karsh Portfolio”, zawierający 48 portretów sławnych ludzi, polityków, artystów, naukowców. Auto-

rem tych zdjęć jest Yousuf Karsh, 59-letni Kanadyjczyk, pochodzenia ormiańskiego. Od wielu lat „Karsh z Ottawy” cieszy się światową sławą dzięki swym zdjęciom.

KSIAZDZ FARIA BOHATEREM „HRABIEGO DE MONTE CHRISTO”

□ Pod takim tytułem paryski tygodnik „l'Humanité Dimanche” przedstawił autentyczną historię księdza Faria, który posłużył Aleksandrowi Dumasowi, jako model do jednej z postaci w powieści „Hrabiego de Monte Christo”.

Niezwykły wiezień zamku If, starzec, który przetrwał i kształcił nieszczęśliwego Edmonda Dantésa, przyszłego hrabiego de Monte Christo, nie jest postacią zmyśloną i jego życie jest nie mniej tak samo ciekawe,

jak to, które ukazał Aleksander Dumas, ojciec. W maju 1788 roku przybył do Paryża trzydziestoletni człowiek, szczupły o śniadej cerze. Nazywał się José Custodio de Faria. Urodził się w wiosce w Indiach, leżącej w pobliżu portugaliskiej enklawy Goa. Jego ojciec był pochodzenia hinduskiego i należał do kasty braminów. Potem przeszedł na katolicyzm, i został duchownym. Jego żona, matka Joségo, wyjechała z chłopcem do Lizbony. W roku 1776 José jest w Rzymie, gdzie się kształcił na księdza. Następnie wyjechał do Portugalii, gdzie już jako ksiądz w ogłasza kazanie wobec

dworu królewskiego. O młodym księdzu Faria zaczynają krążyć dziwne pogłoski. Ludzie mówią, że opętany jest przez demona. Jego wzrok jest niesamowity, a gdy ksiądz Faria żąda, aby ktoś zasnął, tamten usypia natychmiast. José bojąc się po sąsiedztwa o spokój z szatanem wyjeżdża do Paryża. Jest to okres niepokojny, poprzedzający wybuch Wielkiej Rewolucji. Ksiądz Faria pasjonuje się polityką, bierze żywy udział w dyskusjach, jest zwolennikiem idei rewolucyjnych. Równocześnie rozwija swój dar hipnotyzera. W roku 1789 Faria z radością wita obalenie Bastylii, w roku 1792 grozi mu jednak aresztowanie, ale już za Dyktatoriatu swobodnie rozwija swoją karierę hipnotyzera. Paryż w owym czasie żywo interesuje się zjawiskami takimi jak hipnotyzm czy magnetyzm zwierząt, wykorzystywany zwłaszcza dla celów leczniczych przez słynnego Mesmera. Ksiądz Faria odbywa częste seanse hipnotyczne. Raz chwalił się, że silił samego wzroku zabijać kanarkę w klatce, ale próba się nie udała. W roku 1811 Faria jest profesorem filozofii akademii w Marsylii, w roku następnym w akademii w Nîmes. Wkrótce wraca jednak do Paryża, gdzie dalej prowadzi swe seanse hipnotyczne. W czasie Restauracji jest gwałtownie atakowany przez prasę, posądzany o szalbierstwo, a nawet publicznie ośmieszany. Toteż zaprzęta seansów i pisze książkę o przyczynach snu hipnotycznego. Umiera w roku 1891 na skutek ataku apopleksji.

W trzy lata później przybył do Paryża Aleksander Dumas ojciec, który wiele słyszy o zdumiewającym, niezwykle wykształconym człowieku, jakim był Faria. Toteż pisarz z postaci hipnotyzera Faria czyni starca, który w zamku If przywraca nieszczęśliwemu Edmondowi Dantésowi wolę do życia.

NAGRODY DLA POETÓW FRANCUSKICH

□ W Paryżu zostały przyznane cztery wielkie nagrody dla poetów, wyznaczane corocznie przez Stowarzyszenie Poetów

Francuskich. W tym roku Grand Prix de Poésie za całokształt twórczości poetyckiej otrzymał André Stirling, autor pięciu zbiorów poetyckich. Prix Desbordes-Valmore, nagrodę przeznaczoną dla poetki, otrzymała autorka kanadyjska, Anne Hébert za dzieło pt. „Tombeau des rois” (Grób królów).

Wielką Nagrodę Krytyki Poetyckiej otrzymał Henri Clouard, a Jorge Carrera Andrade, ambasador Ekwadoru w Holandii, jeden z najbardziej znanych poetów w Ameryce Południowej, otrzymał Prix International des Amitiés Françaises (Nagroda Między narodowa Przyjaźni Francuskich). Jules Romains, przewodniczący Stowarzyszenia Poetów Francuskich, wręczył uroczyste nagrody laureatom. André Stirling otrzymał 1.000 franków, reszta laureatów dostała medale i wazy z Sèvres.

CZARNY SŁOWIK

□ W paryskiej Operze występuje w „Aldzie” Leontyna Price. Czarna śpiewaczka jest niezwykle piękna, ma wspaniałe oczy o kształcie migdałów i rzadką u czarnych, matową karnację. Leontyna Price urodziła się w dzielnicy murzyńskiej w jednym z miast w stanie Missisipi. Jej ojciec był robotnikiem tartacznym. Jej niezwykły talent śpiewacki zauważono już w



Leontyna Price

roku 1930, gdy Leontyna miała zaledwie trzy lata. Już wtedy lubiła bardzo śpiewać, akompaniując sobie na malutkim fortepianie dla lalek. Później, aby można było dziewczynce zapewnić lekcje muzyki i śpiewu, jej matka zostaje akuszerką. Mając lat siedemnaście Leontyna używa stypendium i uczy

się w słynnej Juilliard School of Music. Po ukończeniu szkoły przybywa do Nowego Jorku, gdzie zaczyna karierę śpiewacką. Jej marzeniem było występować w operze. Początkowo, z dużym powodzeniem, występowała na Broadwayu w „Porgy and Bess”. Później zostaje zaangażowana do Wiednia, po czym w roku 1961 znowu jest w Nowym Jorku, gdzie śpiewa w „Trubadurze”. Po arii oklaskiwana jest przez 42 minuty bez przerwy.

Obecnie Leontyna Price jest śpiewaczką o sławie światowej. Występuje we wszystkich najważniejszych operach świata. Przebywając w Nowym Jorku zajmuje czteropiętrowy luksusowy dom o pokojach umeblowanych we francuskim stylu osiemnastowiecznym.

NOWA POWIEŚĆ SAGANKI

□ Wkrótce w nakładzie 100 tys. egz. ukazuje się na francuskim rynku księgarskim nowa powieść Françoise Sagan pt. „Le Garde du Coeur” (Strażnik serca). Książka od dłuższego już czasu zapowiadana jest jako utwór z serii powieści kryminalnych, ponieważ na stu osiemdziesięciu stronach jest 5 zabójstw. Pomimo to — jak twierdzi paryski tygodnik „l'Express” — najnowszy utwór Saganki nie jest „kryminałem”, ale raczej satyrą na ponurą obyczajową Hollywood.

CIERPIENIA MŁODEGO WERTERA

□ Jean-Pierre Lajournade przygotowuje dla francuskiej telewizji adaptację utworu Goethego „Die Leiden des jungen Werthers”. Jak wiadomo treścią tego utworu jest miłość młodego dyplomaty do kobiety zamężnej. Miłość ta kończy się tragicznie, gdyż Werter odbiera sobie życie.

FREUD BOHATEREM FILMU TELEWIZyjNEGO

□ Bohaterem jednego z filmów telewizyjnych francuskiej jest sam Zygmunt Freud, ojciec psychoanalizy. Film pokazuje jeden z pierwszych przypadków leczenia, kiedy to słynny wiedeński profesor zastosował swą metodę. Relacje o tym pochodzą z notatek Marty, żony doktora Freuda.

Bez strachu

NIEBEZPIECZNA OKOLICA

Jest u nas jeszcze Niebezpieczna Okolica w... nie powiem Wam gdzie, bo byście tam pojechali gnać ciekawością i okolica przestała być Niebezpieczna, a musiałby być rezerwat, w którym niebezpieczeństwa błądzą strażone z litością dla nauki jak żubry. Wybrałem się do tego miejsca oczywiście nocą — by była większa szansa spotkania niebezpieczeństwa, ale dla wygody wybrałem się tak sówką. Szofer zapytał mnie czy mam żonę i dzieci, oraz czy żywię jeszcze jakieś aspiracje i nadzieje życiowe... „Niech pan się nie dziwi tym pytaniom”, powiedział, „ale tak sówką widzi Pan to coś jakby konfesyjonał...”. Odpowiedziałem na wszystkie pytania szofera. Jechał miły w milczeniu — było coraz niebezpieczniej. „Widzi Pan, że tutaj bardzo niebezpieczna okolica?” „Wiem”. „Nie mogę Pana dalej wozić — dla mnie tu już zbyt niebezpiecznie”. „Jak to więc, nagrazi mi Pan, bym idąc naprzeciw niebezpieczeństwu pobrudził buty błotem?”. Trudno, niech Pan pobrudzi — kto wie, może Pan sam jest niebezpieczny. Kiedyś wiozłem tu jednego — nagle wyciągnął nożycki — no, powiada, co byś teraz zrobił, jeżeli zamiast zapłaty obetnę ci uszy — skąd mogę wiedzieć co Pan za chwilę wyciągnie”. „Ależ drogi Panie, przed chwilą rozmawialiśmy tak szczerze”. „I co z tego, ten od nożyckiego też rozmawiał szczerze, każdy do jakiego bandziora jest szczerzy, tylko płotki w tej branży klamają”. Szofer bał się tak bardzo, że nie mógł utrzymać kierownicy — samochód tanieczył niedźwiedź wami. „Czy nie uważa Pan, że taka jazda jest niebezpieczna?”. „Tutaj wszystko już jest niebezpieczne, a najbardziej niebezpieczni są ci, którzy tutaj mieszkają, tym którzy tu przyjeżdżają też zresztą niczego nie brakuje”. „A ja sobie pozwolę dorzucić, że bardzo niebezpieczni są także ci, którzy przywożą tych co tu przyjeżdżają”. Szofer nie odpowiedział, lecz zatrzymał samochód w gwałtownym skręcie, zgasił światła, położył mi palec na ustach i z wytyczoną uwagą poczał wpatrywać się w przestrzeń. „Co się stało?”, wyszeptalem. „Cicho, na Boga, wydaje mi się, iż przed nami widzę coś tak niebezpiecznego, że jeżeli nawet Pan jest niebezpieczny to w porównaniu z tym, co jak mi się wydaje stoi przed nami, jest Pan drobna niebezpieczeństwa w porównaniu z jego górą”. Milczałem, obaj w ciemnej sówce. „Nastukało sto je-

denasie złotych”, wyszeptal szofer i wyciągnął rękę. Przejęty grozą nie był mi w stanie wydać reszty ze stu pięćdziesięciu. „Od wagi”, szepnąłem i mocno uściśnalem mu rękę wychodząc z taksówki. Pod winątem nogawki u spodni i ruszyłem przed siebie, brnąc w błąd. Od czasu do czasu by uśmiechał się samotna wędrownik, szepnąłem: „To już Niebezpieczna Okolica, a ja jestem niewątpliwie w dużym niebezpieczeństwie”. I szepnąłem zębami. Tak idąc dotarłem do rozstajnych dróg, gdzie zastanę dwóch ludzi. Określiłem ich od razu, jako ludzi — gdyby był jeden pomyślałbym, że to diabeł — ale dwa diabeły to trochę tak jakby dwa grzyby w barze. Natomiast mogli to być dwaj bandyci, no ostatecznie jeden diabeł i jeden bandyta działający łącznie. Należało stwierdzić, czy są niebezpieczni. „Witam serdecznie!” powiedziałem. „Witam i pozwól sobie wprost zapytać czy Panowie są niebezpieczni?”. Po chwili odpowiedział obaj bardzo gwałtownie, niewiele mówiąc, ale intensywnie gestykulując. Każdy twierdził o sobie, że nie jest niebezpieczny — zdawał się natomiast obwiniać partnera. Trwało to bardzo długo i nie wyglądało niebezpiecznie. „A co panowie tu właściwie robicie?”. „My zabiliśmy”. „I jak długo już jesteście tym zajęci?”. „Chyba że dwie godziny”. Jest noc czy Panowie zamierzają czekać tutaj do świtu? Nie, to właściwie znaczy tak, trzeba gdzieś iść to znaczy nigdzie iść nie można”. „Mylicie się, ja wiem, że można iść”. Tak ale gdzie?”. „Ku niebezpieczeństwu oczywiście. Różniacze ze mną, powiedz Wam ku niebezpieczeństwu to nie namyślenie się długo — nie jest krótką, a niebezpieczeństwa małe, dobrze będzie trzeba się nachodzić, zanim znajdziemy chociaż jedno jako tako przyzwoite niebezpieczeństwo”. Oczywiście zabiliście w świetle gwiazd i ruszyliście przez noc. Szliśmy tak i szliśmy, aż jeden z nich stanął i zaczął z trwogą. „To przecież Pan, oczywiście Pan — zapomnieliśmy Pana zapytać”. I obaj umknęli w ciemność. Doremnie i długo ich wołałem. „Wróćcie chłopcaki, wcale nie jestem niebezpieczny, przećwiczcie wszystkie się bo ja i jestem zupełnie niezłą”. Tak błądziłem nawołując i zupełnie już nie pamiętając o niebezpieczeństwie, aż zaskoczył mnie nie świat, ale pełen nocy. Płen mleku i jakichś żywiołowych ludzi, gdzie znalazł się mój nocny towarzysze, który nie pochwycił mnie tak ostentacyjnie, że sugerowało to znajomość z wielką, niż ta, która miała nam zaistniała. Chcecie może wiedzieć, gdzie jest Niebezpieczna Okolica — nie z tego nie powiem Wam — każdy musi mieć właściwie dla siebie osobiste niebezpieczeństwo — bez tego nie można żyć.

BERNARD SZTAJNERT

TERESA

WOJCIECHOWSKA

DOBRA PASSA do wykorzystania

Jedną z poważniejszych trosk towarzyszących powstawaniu Teatru Wielkiego była obawa o frekwencję, o zapelnienie widowni. Wprawdzie nawet pesymista przewidywał, że przez pół roku kłopotu z tym nie będzie, bo ludzie przyjdą ciekawym gmachu, ale przecież nie było to żadną powściągliwością. Warunki bytowania Opery Łódzkiej przed okresem Teatru Wielkiego, mimo, że istniała ona 13 lat, nie mogły wykształcić tradycji i nawyku chodzenia do Opery, jakie ma ja Poznań, Kraków czy Warszawa.

Minał już przeszło rok (dokładnie rok i dwa miesiące) od chwili otwarcia Teatru Wielkiego. Mówiąc dziś o frekwencji można by raczej powiedzieć o „klesce widowni”. Bilety zbiorowe na niektóre przedstawienia są wyprzedane już na styczeń 1969 roku i dalej. Średnia roczna frekwencja wynosiła około 95 procent, czyli właściwie stały komplet na widowni.

Nie licząc, na nieustanny szturm do kas biletowych, dyrektora teatru niemal od po-

czatku wprowadziła organizacja sprzedaży biletów. Jedną trzecią miejsc pozostawiono do indywidualnej sprzedaży w kasach, resztę przeznaczono do sprzedaży zbiorowej i na abonamenty. Forme abonamentów wprowadzono w październiku ub. roku, polega ona na tym, że zakład pracy kupuje karnet na około 18 przedstawień w miesiącu i gospodaruje nim według własnego uznania. Abonamenty mają 30-procentową zniżkę. Takich abonamentowiczów ma dziś Teatr Wielki 82, mają oni w sumie 107 dwuosobowych karnetów i w zasadzie liczby tej dyrekcyjnie nie chce już przekraczać. Wśród nabywców biletów zbiorowych ma Teatr Wielki 300 „stałych klientów” — łódzkie zakłady pracy. Swych stałych potencjalnych bywalców widzi teatr również w mieszkaniach miast satelickich Łodzi, połączonych z nią siecią tramwajową: Zgierz, Ozorków, Pabianice itd. Ta wielotysięczna społeczność związana z Łodzią wieloma wezłami, uczęszczająca do jej teatrów na pewno warta jest zabiegów pozyskania. Od pewnego czasu powstały w tych miastach punkty sprzedaży biletów, w których „urzędują” w określone dni kasjerki Teatru Wielkiego przyjeżdżające z Łodzi. MPK dostarcza widomym środkom lokomocji. Stałymi bywalcami są też grupy mieszkańców miast i wsi województwa łódzkiego. Przyjeżdżają widzieć do Warszawy, Kalisza, Częstochowy i miast znacznie dalszych — Opola,

Tczewa, Białogostoku, Lublińca, Jeleniej Góry i tak dalej i dalej. W ciągu roku przez widownię Teatru Wielkiego przewinęło się ponad 280 tysięcy widzów, w tym 62 tysiące spoza Łodzi.

Czy można wobec tego mówić już o jakiejś stabilizacji widowni teatralnej w Operze, przyjął istniejący stan za ugruntowany i pozwalający wnioskować, że tak będzie i w latach następnych? Sądzi, że nie. Aczkolwiek na widownię pojawiają się już te same twarze stałych bywalców, a w czasie przerw w kuluarach słyszy się dyskusje porównujące poszczególne przedstawienia, to przecież nie jest to zbyt liczna grupa ludzi. Wydało mi się, że zainteresowanie gmachem, że ciekawość obejrzenia Teatru Wielkiego przyciąga wiele jeszcze osób, że każdego dnia spora część publiczności widzi teatr po raz pierwszy. Passa pierwszego etapu spotkania: teatr — publiczność jeszcze trwa i to wcale nie jest zła passa, trzeba ją tylko wykorzystywać. Między innymi, a może przede wszystkim na poznanie widza.

W ciągu roku przez widownię Teatru Wielkiego przewinęło się 280 tysięcy osób. Co o nich wiadomo? Niewiele. Myślę, że nawet o ich gustach niewiele wiadomo. Bo na przykład z faktu, że największym powodzeniem cieszą się przedstawienia „Kniaź Igora”, „Pana Twardowskiego”, „Zemsty nietopora” i „Damy Piłkowskiej” nie można chyba wy-

ciągnąć żadnych wniosków o gustach publiczności: dwie po zycie poważne i trudne, operetka, balet — tu nie ma wspólnego mianownika. Co więc wiadomo? Że 60 procent łódzkiej widowni stanowi inteligencja, a 40 procent robotnicy. Że 70 procent widowni wojewódzkiej stanowi chłopi, a 30 procent inteligencja. Że wszyscy żądają biletów droższych, miejsc lepszych, na tańsze jest mniej chętnych, choć wiadomo, że w Teatrze Wielkim z każdego miejsca dobrze widać i słychać.

Oczywiście, że trudno jeszcze na badania socjologiczne, teatr jest zbyt młody, widownia jeszcze w dużej części przypadkowa. Ale jest już grupa stałych bywalców, przychodzi nie tylko na przedstawienia, bo również do „Teatralnej”, przytulnej, ładnej kawiarni. Dyrekcja teatru podjęła dobrą i ciekawą inicjatywę — „Poniedziałki w Teatralnej”. Impreza stworzyła okazję do spotkań wykonawców, realizatorów i przedstawicieli dyrekcyj z publicznością. Spotkania te, ostatnio jakoś zaniedbane, cieszyły się ogromną popularnością, kawiarnia zawsze była wypieloniona po brzegi. Wydało się, że szansy tej nie wykorzystano do końca. Zdobytą popularność można było wykorzystać dla popularyzacji sztuki operowej w szerszym zakresie, szerzenia kultury muzycznej, dla zdobywania i przybliżania potencjalnych widzów atmosferą jakiejś osobistej, intymnej serdeczności,

kontaktów bezpośrednich z teatrem, jego artystami, jego repertuarem. Wreszcie okazję wykorzystano dla poznania widza. Mogło to być jakieś swoiste biuro badania opinii, sondażu gustów i upodobań. Zresztą, nikt nie próbuje takiego sondażu być czyniony: publiczność pytała o pozycje zapamiętane z poprzedniej sceny operowej: „Fautista”, „Toska” i inne, ale pytała również o pozycje klasyczne, nigdy w Łodzi nie wystawiane. Nie jestem zwolennikiem kształtowania repertuaru „pod publiczność”, bo rola teatru polega między innymi na kształtowaniu i uszlachetnianiu gustów publiczności. Ale i do tego zadania potrzebna jest znajomość upodobań widowni.

Teatr Wielki zrobił sporo w dziedzinie reklamy i to reklamą w dobrym stylu. Wszystkie wydawnictwa z programami na czele są estetyczne, efektowne, starannie wykonane. Wykonano sporo drobnych reklamujących Teatr Wielki, ostatnio ukazała się papeteria z wizerunkiem teatru. Stempel: „Teatr Wielki zaprasza”, umieszczany przez pocztę na kopertach listowych dociera daleko poza Łódź. Poza tym afisze, gabloty ze zdjęciami — formy reklamy można wyliczać dość długo. Gorzej jest z propagandą. „Poniedziałki w Teatralnej” i 7-minutowe audycje nagrywane na taśmie magnetofonową, w których mówi się o rodowodzie opery, realizatorach,

wykonawcach i ilustruje ciekawe fragmenty muzyczne, a które rozsyła się do radiowców fabrycznych w Łodzi i powiatowych w terenie, to właściwie jedne formy propagandy. A więc — trochę mało.

Na razie o widzów nie potrzeba walczyć, przychodzą sami. Ale tych przychodzących trzeba zdobywać na stałe.

W ośrodkach o starej kulturze muzycznej, starych tradycjach operowych, publiczność przychodzi na wykonawców. Nasza publiczność na ogół przychodzi na operę. Ale już zaczynają pojawiać się tacy, którzy pytają w kasie: a kto dziś śpiewa, pan X czy Y. To dowód wzrastającej kultury muzycznej, znawstwa, potrzeby wybierania tego, co się lepiej podoba. Myślę, że Teatr Wielki i z racji sztuki, którą kulturuje i z racji piękna przybytku, w którym ta sztuka jest uprawiana, jest szczególnie predestynowany właśnie do przeszerzenia kultury w szerszym tego słowa znaczeniu. Tu nawet młodzież zachowuje się lepiej, niż w innych teatrach, tu ludzie przychodzą odwiecnie ubrani, stąd wielu odcierpieć wyobrażenia o dobrym smaku i elegancji. Oczywiście nie znaczy to, że nawołuję dyrektora teatru do prowadzenia lekcji savoir vivre'u. Niech na razie wychowuje publiczność, która przesłanie przychodzi do gmachu, a zacznie — na operę i na wykonawców. To będzie wierna publiczność.

WIZJA

Oskarżony przyznał się, ale dochodzenie trwało. Wizja miała ustalić przebieg wydarzeń według wersji oskarżonego. Dwa milicyjne wozy przedierały się przez miasto w kierunku na Polesie. Był parny, lipcowy dzień.

W zielonej „warszawie” siedział prokurator, oficer docho- deniowy i operatorzy telewizji. W „nysie” — my: kilku pracowników służby kryminalnej, sierżant z psem, reporter, tak zwany „pozorant” i morderca.

Morderca, niewiele ponad dwadzieścia lat, szara koszulka polo, ciemne spodnie, ogó- rzał na twarzy, szatyn, niebieskie oczy, mięsisty nos, szerokie dlonie nabrzmiałe od gorąca o płaskich, równo przyciętych i polyskanych paznokciach — te ręce robiły wrażenie — siedział w głębi, przy oknie, za którym ścielila się złota wolność letniego przedpołudnia. Był spięty bransoletą z pozorantem, ale prawą rękę miał wolną. Pozorant, młody pracownik milicji, poczęstował go papierosem. Odmówił.

Wozy wtoczyły się na ulicę 22 Lipca i zatrzymały się przy placu 9 Maja. Wysiedlił- się. Ekipy filmowe TV i MO rozstawiały sprzęt. On stał na skraju chodnika, w miejscu, gdzie przed rokiem spotkali się we trzech, wszyscy młodzi w wieku poborowym, koledzy, stąd przed rokiem, w taki sam upalny letni dzień ruszyli na spacer, ale po drodze było wino, wódka, jeszcze raz wino, bójka przy alei Unii, wreszcie wrzucili tego trzeciego — żył jeszcze, ale nieprzytomny — do studzienki kanalizacyjnej. Ciało wędrowało miesiącami po podziemnych ściekach, i wypłynęło przypadkiem gdzieś na dalekich przedmieściach, wydawało się: niemożliwe do zidentyfikowania, a jednak... w kieszeni przepni- nego ubrania był dowód, zdjęcie, czytelne nazwisko. Nie, naprawdę nie było kłopotu, aby ustalić, jak to się stało, kiedy i za czym działaniem. Przyznał się on, częściowo tak że ten drugi — niedawno, w czasie rozprawy sądowej, ich zeznania nieco się zmieniły, próbowali przerzucić na siebie winę, pilić ciekawą pingpon- gowa, ale to nie ma większego znaczenia dla naszej relacji, nas interesują tylko owa wizja lokalna, w której on zgo- dził się wziąć udział, krocząc dokładnie tropem morderstwa, jego twarz, psychika, zmiany, jakie będą w nich zachodzić w miarę zbliżania się do miej- sca zbrodni.

Jeden z młodych milicjan- tów staje po jego prawej ręce, aby już do końca wizji grać makabryczną rolę dena- ta. On, morderca, zaczyna się teraz starać odtworzyć z dro- bnościami dokładność swoje- go ruchu i gesty, będzie robił to tak gorliwie, jakby wie- dział, że od dokładności po- szczególnych scen zależy jego życie.

Ruszył. Cichy szum kamer filmowych. Każde ujęcie zo- staje powtórzone. W przerwie pomiędzy ujęciami, przyjmuj- je papierosa i pali, zaciągając się płytko, bez łapczywości. Jest spokojny, i to zaczyna się udzielać. Dręczący spokój. Mam niezachwianą pewność, że ten spokój niedługo musi trzasnąć. Odpowiada półstów- kami na pytania oficera i pro- kuratora, dając wyraz swojej prostocie: „Tu”, „tamój”, „tamtędyk”. Skreca, mając po bokach obu pozorantów, w ulicę Żeligowskiego. Łakowa. Park Poniatowskiego. Tu, kil- kadziesiąt metrów od wytwór- ni filmowej, odpoczywali ja- kiś czas na ławce. Pokazuje po której stronie siedział za- mordowany, a po której oni. Teraz wstają, ruszają w głąb parku, zamieniając się miejsca- mi. On już nie idzie w środek. Po prawej stronie. Wzbi- ja nogami obłoczki szarego kurzu. Patrzy na drzewa i na zielone, równo przyciężone trawniki. W ogródku Jorda- nowskim baraszkują dzieci, skrzyp huśtawek, szmer prze- sypwanego piasku. Mały chłopiec chwytając kobietę za skraj kwiecistej sukienki.

— O, widzisz mamę, kręca film! — Aha. Tak, synku, tak. Kobieta uśmiecha się pogod- nie. Dostrzega błysk kajdan- ków i uśmiech gąsien. Znowu się uśmiecha: przecież w filmie często są kajdanki, mili- cjan ci psy. Skrecają w aleję, która wy- chodzi na ulicę Żeromskiego. Lewa strona stoi w słońcu, po prawej trochę cienia przy drze- wach. — Jak szliście? — pyta ofi- cer. — Modle się, aby wskazał na cień. Wskazuje na słońce. Przecież to nie ma większego znaczenia, cień czy słońce — tak myślę — wszystko jedno, któregoś wówczas szli. Mógł wskazać na cień i byłbyśmy trochę odsapnęli. Patrzę na jego twarz mokrą od potu. Zanim go ujrzałem na pod- wórkę komendy, czułem wa- tę w nogach i ucisk w pier- si. Teraz nie mogę wzbudzić w sobie wrażenia, że patrzę na mordercę, który może za dwa, trzy miesiące, poniesie najwyższy wymiar kary. Wszystko jest takie szare, proste, wytrawione przez słoń- ce; pies leży ospale na trawie, ekipa z telewizji ma na twarzy uczucie zawodu i pra- cując niemrawo, milicjanci ha- rnią zakutani w ciężkie ubra- nia, ja sam marzę o wódzie sodowej albo o bombie zimnej.

go piwa; to napięcie, które odczuwałem na początku, opa- da we mnie — nie ma prze- cież żadnego zagrożenia, nas się kilkunastu, on sam, nie będzie uciekał, gdyby nawet, to pies, pistolety, no i bran- soletka, którą skutny jest z po- zorantem, młodym, sprężys- tym chłopakiem, o bystrych oczach i wolnej lewej ręce. Bransoletka... Przy wyjściu z parku powiedział, że go upija. Oficer wyjął klucz i popuścił mu dwa ogniwa. „Do- brze?”. „Dobrze”. „Papiero- sa?”. Zapalił. Usiadł na skra- ju ławki, zaciągając się płytko, beznamieennie, co i raz strzą- sał na ziemię szare wałeczki popiołu, odwrócił głowę, kiedy ulica przetoczyła się tramwa- jami, dzwoniąc rytmicznie na skrzy- żowaniu, czasami wymienił parę słów ze swoim aniołem- stróżem, ale były to słowa nieważne, obojętne dla całej sprawy. Ot: „gorąc”, „ducho- ta”, „słońce”.

Wyszedłszy na Żeromskiego. Przy Kopernika dyżurny ru- chu zatrzymał tramwaj i stru- mień samochodów. Obie ka- mery wyrzuciły na chodnikach, a on siedział przez jezdnię, te- raz znowu między dwoma, po środku, trochę gapiów, przyglą- dało się temu, z nikłym za- ciekawieniem, bo sceneria by- ła raczej licha, nudnawa. We- dług scenariusza, następne uję- cie miało być, jak oni wcho- dzą do „Kolejowej”, narożnej knajpy o dość podłej sławie. Ale główne drzwi były zamk- nięte. Trzeba było od tyłu, przez kuchnię, „Telewizja” — ucieczyli się kucharki. Ta najważniejsza, tęga i rumia- na, czyniła honory pani domu. Otworzyła drzwi z klucza, dwa ujęcia, potem on uścił w środkowej salce, na wprost okna, przy tym samym sto- liku, co wtedy. „Co piliście?” — zapytał oficer. „Wódkę”, „Jaka?”. „Czystą”. „Duzo?”. „Pół litra”. Kelner wniósł wo- dę w półlitrowce z czerwoną nalepką, kieliszki — stopki pięćdziesięciogramowe, rozlał, wypili, on skrzywił się — nie wiem: czy dlatego, że wo- da, czy też, żeby precyzyjnie odtworzyć epizod. „Pozorant” markując pić, uśmiechał się z lekka, z przekąsem, uśmiechnął się prokurator i oficer, też się uśmiechnął, on w końcu — też. To był łagodny uśmiech, niewymusz- ny. Do twarzy mu było z u- śmiechem. „Co z nim będzie?” — zapytał milicjanta. „Nie domyśla się pan?”. „Bezwa- runkowo?”. „Chyba tak”. Zno- wu uśmiałem wniećcie w siebie wrażenie, że patrzę na ulotny cień człowieka, owo wrażenie, które sparaliżowa- ło mnie w pierwszej chwili na dziedzińcu komendy. Bez skutku. Czułem tylko nudę i pragnienie. Podszedłem do bu- fetu. Stał tam milicjant w cy- wilu. Rozpiął pod szyją gu- zik satynowej koszuli. „Gora- co”. „Strasznie!”. Zamówił ornaty, ja piwo. „Po piwie boli mnie głowa” — powie- dział. Lubię, ale boli mnie głowa”. Ubiegł mnie i zapalił za wszystkim. Sympatyczny gość. Wróciłem do środkowej salki. Tamci już zbierali się do wyjścia. Sierżant poił psa, filmowiec zwiłł szorzet, on stał przy drzwiach, ponatrząc osowiale w jakiś punkt na

ścianie. Pozorant, z którym był skutny, ocierał pot skrajem rękawa. „Jak pan myśli — zapytał oficera — jak on się zachowa, kiedy dojdziemy tam, na miejsce zbrodni?”. „To jest właśnie ciekawe” — powiedział oficer. Myślałem: będą mu drżały ręce i może zacznie płakać, albo dostanie szoku nerwowego. Zobaczymy. Wróciłem do samochodów, które czekały cierpliwie obok restauracji. Znowu park Po- niatowskiego skwaszony wzie- rającym upałem. Dwa ujęcia przy wyjściu z parku na ulicę Kopernika. Potem szli Karo- lewska, Fornalskiej, i tu, w niewielkim sklepie spożyw- czym kupili trzy butelki ta- niego, owocowego wina. Ich trzech i trzy wina — rachun- nek prosty, dokładny. Po bu- telce na głowę. Idąc w głąb Fornalskiej, znaleźli mały, za- śmiecony papierami placik. Trochę przywidłej trawki, karłowate drzewko, o które można oprzeć się plecami, ci- che i wygodne miejsce na ubo- czu, w spokojnej dzielnicy. Przysiedli, wypili zakaszają- cym, odrzucili za siebie puste szkło — otwierało to- raz z najdrobniejszymi deta-

see już wcześniej, czy może, ot, tak, same nogi przyniosły ich tutaj? O czym myślał za- mordowany? O czym oni?

Niemal na wprost głównej bramy stadionu jest studzien- ka kanalizacyjna, przykryta pordzewiałą, żelazną pokrywą. To rozegrało się w pobliżu. Patrzę na niego.

Wszyscy na niego patrzymy. Obie kamery są już na po- zycjach.

Teraz myślę. — Teraz.

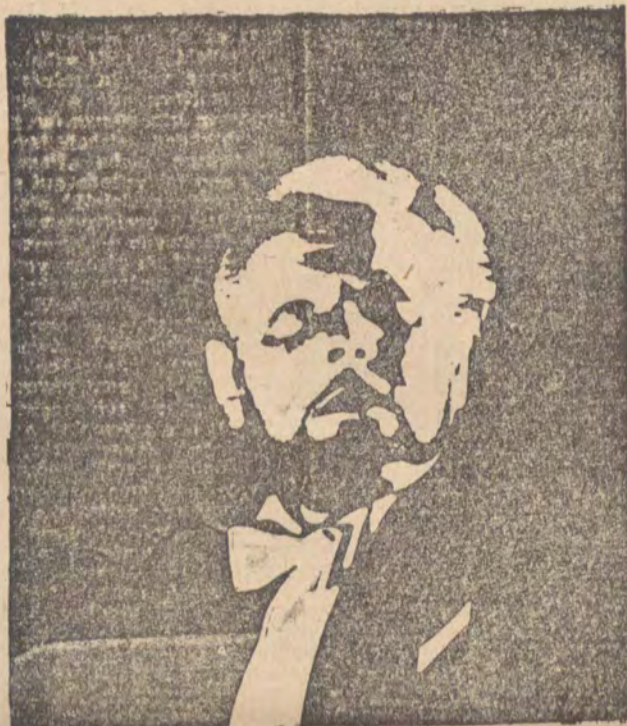
On i dwaj „pozoranci” u- stawiają się do bójk. Zerkam w milicjny scenariusz wizji.

Punkt 31. Leżący denat (manekin) po otrzymaniu cio- sów — ujęcie z przodu.

Punkt 32. Denat (manekin) leży na ulicy. Tomczyk kopie go. Wójelek obok — ujęcie z przodu, ujęcie z tyłu.

Punkt 33. Sprawcy stoją przy leżącym denacie (mane- kin) — ujęcie z przodu, uję- cie z tyłu.

Punkt 34. Tomczyk znajduje drut do otwarcia studzienki kanalizacyjnej — ujęcie z przodu, ujęcie z tyłu.



mi: „Nie, tamój, tamój — po- uca „pozoranta”, który wziął na siebie rolę denata. — Ta- mój on (zamordowany) sie- dział”.

— A wy, gdzie?

— A tu.

— A którego wysłicie na ulicę?

— A tamtędyk.

Wracamy na Karolewska. Teraz ich droga powinna bieć prosto. Teraz powinni wrócić do domu i przyłożyć ciężkie skołowane głowy do poduszki. Ale pociągali ich spokój i pustka bocznej ulicy. Skreślił w aleję Unii i szli równoleg- le z murami stadionu, obok be- tonowego płotu ogradzającego dworzec. To był zamiar czy przypadek? Wybrali to miej-

Punkt 35. Sprawcy otwiera- ją studzienkę kanalizacyjną — ujęcie z przodu, ujęcie z tyłu.

Punkt 36. Sprawcy podnoszą denata (manekin) przenoszą go i...

Chwilęczkę. On odgrywa te- raz scenę po scenie. Jest dwu- nasto, słońce w zenicie. Roze- brani do pasa robotnicy na murach stadionu przerywają pracę. Pokrzykują coś do nas. Kilku chłopców zwabionych kamerami przystaje w przy- zwolonej odległości i patrzy. Milicjant zwraca z drogi ko- biecinę w żalobnej sukience i jakiegoś człowieka z wyswiche- taną łezką. Milicjant w cy- wilu i referent prasowy i siadają pod murem dworca.

Siadam obok nich. On kopie- je scenę bójk.

— Bileś, pokaz, jak biles — mówi oficer.

Zamierza się na milicjanta grającego rolę denata — ma- nekin przewidziany w scena- riuszu nie został na czas wy- pożyczony. Manekina nie było. — Dotyka lekko twarz mili- cjanta.

To nie jest udane ujęcie. Sztuczne, rażące sztucznością. To ujęcie trzeba powtórzyć. — Fest mu dołoż! — krzy- czy jeden z gapiów.

Zaczynamy się śmiać. Wszy- cy. On też się śmieje, swin- gując następnę, już dużo śmielesz uderzenie. Teraz kopie. Teraz podnosi „pozoran- ta” za nogi, głową w dół i niesie nad studzienkę — sie- dem metrów głęboką, widać wąskie betonowe dno ścieku, mętny, brudnoszary strumień nieczystości... Scena, gdyby to odbierać w kinie, jest suges- tywna, makabryczna. Twarz pozoranta nabiega krwią, wło- sy stają pionowo, postuszne prawom fizyki, otwarte oczy, uchylone usta — powinno być mocne wrażenie.

Nie ma wrażenia.

On, odtwarzając dokładnie wszystkie zewnętrzne szcze- góły, jest pusty w środku, nie przeżywa tego jeszcze raz, nie kojarzy. „Pozorant” jest dla niego tylko „pozorantem”. „Bójka” jest zabawą — ucia- zliwą, ale lepszą od samotnej cell. On — pamiętając każdy swój gest sprzed roku — „nie pamięta nic”. Dlatego nie ma wrażenia. Ale ta wizja prze- prowadzona skrupulatnie przez MO, będzie ważnym materia- jem w dochodzeniu. Ta wizja zostanie porównana z inną wizją, odtworzoną według wersji drugiego mordercy. W ten sposób zostaną ujawn- nione zbieżności i rozbieżno- ci obu zeznań i cierpliwa praca ekipy śledczej pozwoli ustalić prawdę.

Znowu jesteśmy na ulicy Karolewskiej. Przechodzimy pod mostem. Detonacja pocią- gu pośpiesznego, przeciągły syk parowozu. Odczuwam na- tretny, świdrujący ból głowy. Młodość. To nie jest emocji. Z upału. Milicjanci staniają się na nogach. Pies robi ciężko bokami. Wizja wciąż trwa. Jeszcze kilka ujęć z powrot- nej drogi. Skrecają w ulicę Towarową — już tylko we- dwóch, jak przed rokiem... Ale ja dalej nie idę. Zegnam się z milicjantami. Patrzę jeszcze za nim przez chwilę, jak brnie poszarzałą, opusto- szoną ulicą, ciągnąc za sobą obłok pyłu...

Wracam do domu. Biorę proszek, zimny okład na czo- ło. Kładę się na tapczanie.

I nagle widzę to wszystko jeszcze raz. Każdy szczegół, gest, słowo. W innych wymia- rach. Groteskowa wizja zamie- nia się w dramat. Zapamięta- ne twarze nabierają ostrości, tężeją; on sam — otepiał matolek — zostaje człowie- kiem, zachodzą w nim praw- dowe reakcje na strach i wspomnienie morderstwa. Wi- dzę to jeszcze raz i przytla- cza mnie udręka.



Lewym okiem

PRYWATNIE I OFICJALNIE

Gdy chcemy ująć w ścisłą definicję najprostszą choćby rzecz i najoczywistszą pozornie sprawę — okazuje się nagle, że wcale nie jest prosta ani oczywista. Odpowiedź na bardzo zwyczajne pyta- nie zaczyna nam się nagle formować w zdanie, którego początek brzmi jakże kapitulacyjnie i wy- krętnie: to zależy...

Wciąż wszystko zależy od tyłu okoliczności! Wszystko się relatywizuje, wszystko jest w od- niesieniu do ksa także, do ygreka inne, a nie zwyczajnie i po prostu nie jest. Przecież wg fizyków nawet odległość dwóch punktów jest taka lub inna w zależności od tego, w którą stronę ją mierzymy, chociaż wcale tego nie rozumiem.

Rozumiem natomiast ostrożność w wygłaszaniu

sądów o aktualnych sprawach przez działaczy i ludzi, którzy aktualnymi sprawami się inte- resują. Na pytanie: czy uważa pan generalny re- mont domu za rzecz ważniejszą niż zbicie tego samego domu, słyszymy odpowiedź „to za- leży”, i następnie długi wywód, że jeśli chcemy poszerzyć ujęcie do zbiorczy, a jeśli zabezpieczyć mieszkanie przed deszczem — to remontować. To też jasne, chociaż to jest klasyczny unik przed właściwą odpowiedzią, bo przecież chodzi o wła- sne o to, co ważniejsze: zabezpieczyć, czy posze- rzyć? „To zależy” — i spokój. Zdanie jest ścisłe, a facet nie ma żadnego zdania. Śmiejem twierdzić, że nie ma również żadnego zdania — albo ściślej: nie mówi nigdy, tego co naprawdę myśli — ktoś, kto na temat tego samego problemu głosi z wiel- ką swadą i z bogatą argumentacją dwa dila- tacyjnie przeczące sądy w zależności od tego, z kim mówi, albo z jakiego miejsca mówi. Ow- szem, można tą metodą zejść bardzo daleko, cze- go przykładem hrabia Talleyrand: był wielkim re- torem Rewolucji, potem ministrem Napoleona — kiedy wysiadł z tramwaju „Rewolucja” na przy- stanku „Cesarstwo”, potem ministrem Burbonów, którzy obalili Napoleona. Zwalczal przeciwników rewolucji, potem jej zwolenników, potem wrogów jej zwolenników — a wszystko z tym samym entuzjazmem i precyzją. Czyżbyście nie spotkali nigdy działacza gospodarczego, który przy każdej zmianie stanowiska służbowego wyłącza z za- nadra nowy, przypasowany, adekwatny zespół sądów o tym samym problemie, tylko widzianym z przymrużeniem innego oka?

Relatywizacja sądów, czyli — bo można i tak — dążenie do myślenia coraz bardziej naukowego, posunęła się ostatnio jeszcze dalej. Już nie trzeba

zmiany stanowiska ani zmiany rozmowy ani zmiany okoliczności, żeby myśleć tak lub inaczej. Myśli się jednocześnie i tak i tak. Jak się za- pewne Szanowni Czytelnicy domyślają, mowa tu o szerzających się jak dzuma, ultramodernych zwro- tach typu: „w zasadzie”, „osobiście”, „prywat- nie”, „zasadniczo”.

„Osobiście uważam to za bzdurę, ale oficjalnie będę głosował za” — mówi się bez najmniejszej żenady w kuluarach, podczas przerwy w konfe- rencji.

„Zasadniczo nie wolno, ale jak chcecie to pod- piszę” — rozstrzyga mefistofelicznie Ważny Czyn- nik.

A inny Czynn timer, przy kawie, po naradzie, stwierdza poufnie. „Prywatnie przyznaję wam rację, panie kolego, ale służbowo nigdy się na to nie zgodzę”. Ot i macie obaloną fundamen- talną w logice zasadę sprzeczności, bo okazuje się, że można temu samemu przedmiotowi jednocześnie przypisać i odmówić posiadania tej samej cechy.

Trudno się w tym zrelatywizowanym aż do absurdu kosmosie sądów i opinii obracać. Nigdy nie wiadomo, co myśleć o człowieku, jak go sobie uszeregować, jak odnosić do niego własne sądy. Nie ma człowieka, dopóki nie o nim nie wia- domo. Jest jakaś groźna, sfermentowana, parząca w dotyku plazma, z której może wyrosnąć wszy- stko: czułki, żądła, skrzydełko i pazury. Tak osobiście, prywatnie, w zasadzie widzę te sprawy.

Alte oficjalnie, służbowo, uznaję pana Z za ko- legę, panią N za przyjaciółkę i pana K za au- torytet.

CWIEK